

THEODORE STURGEON

# Klucz do Zapory

Parszywa misja. Oczywiście chodziło o misję na ochotnika (to znaczy samobójczą), a więc brałeś co dawali. Wiadomo, jakie to ryzyko. Fetują, obsypują honorami ciebie i trzy pokolenia twoich przodków i potomków - przed startem, ale kiedy już wyruszysz, nie oczekuj, że to będzie przyjemność. Rzecz w tym, że całe samobójstwo, a nie tylko sam finał, to śmierć.

Potter bezwiednie chwycił się za nos, nawet wtedy gdy patrzył ci prosto w oczy i mówił do ciebie. Spróbujcie coś takiego wytrzymać podczas lotu. To właśnie martwiło mnie najbardziej. Resztę chyba wkurzał Donato. Miał kaszel psychosomatyczny, którego nie zauważono podczas tych wszystkich przedstartowych badań lekarskich, po prostu dlatego, że nigdy przedtem czegoś takiego nie miał, bo też nigdy dotąd nie wysyłano go na śmierć. Ja, jak sądzę, prześląknąłem owym "głębokim współczuciem" Luanan, które chroniło mnie przed tego rodzaju nieprzyjemnościami. Za to Potter - obecnie "Szczypawa" - mnie wnerwił, muszę to przyznać.

Mały Donato usiłował się zawsze przypodobać. Niektórzy ludzie są irytujący, bo nie zadają sobie nigdy trudu, żeby innym sprawić jakąś przyjemność. Donato natomiast popadł w przesadę w drugą stronę i wiecznie ustępował, nigdy się nie sprzeciwiał, zawsze potrafił pomóc lub załagodzić sytuację, albo wycofać się, przynieść, powiedzieć coś czy nie powiedzieć, w zależności od potrzeb, aż w końcu miało się ochotę przedziurawić statek kosmiczny, żeby tylko pozbyć się jego i wszystkich innych przy okazji. Sęk w tym, że był tak usłużny, że nigdy nie dawał ani cienia powodu do skargi. Nieraz byłem świadkiem, jak ten czy ów z załogi ni z tego ni z owego rzucał się na Donata, każąc mu się wynosić do diabła.

- Jasne, przyjacielu - mówił zawsze Donato, uśmiechał się i wynosił do diabła, a ten drugi, obojętnie który z nas to był, pukał się w czoło.

Potter to spec od mechaniki pól, Donato od balistyki, England - brzydka o wielkich uszach i załzawionych oczach, milczek, który głośno tylko jadał - to ekspert od pocisków raketowych. Ja się nazywam Palmer; słyszałem, że na Alfie Sigma IV był kiedyś gość, który wiedział więcej ode mnie o naprężeniu międzyprzestrzennym, ale ja w to nie wierzę.

Każdy z naszej czwórki wyznawał odmienny pogląd na to, jak przełamać Zaporę Luan, a tego właśnie mieliśmy dokonać podczas naszej wyprawy. Owe cztery teorie były naciągane i wszystko przemawiało raczej za tym, że to Zapora nas pokona - ale takie dostaliśmy zadanie. Zastosowano już wszystkie racjonalne metody, by dokonać tego, co należało, a czego nie udawało się dokonać, odwołano się więc do pomyłców.

Musiałem zweryfikować swoją teorię nie do obalenia z trzema maniakami, bo to był jedyny sposób, żeby ją kiedykolwiek wypróbować. Nasza czwórka stanowiła trzon ekspedycji. Reszta to po prostu personel operacyjny. Kapitan Steev, dowódca statku, a ściśle biorąc promu kosmicznego,

który wie wszystko, co powinien wiedzieć o kierowaniu promem, by doprowadzić go na miejsce, i nie zna się na innych rzeczach, nie interesuje się nimi i nie będzie się o nich wypowiadał.

Niektórzy utyskują, że mamy właśnie takiego kapitana, ale ja nie. Powinien być gotów umrzeć w razie czego i taki jest. Powinien znać swój fach i zna. No więc o co chodzi?

Pomagier, chłopak do wszystkiego, śmieszył nas mniej więcej przez pół godziny, potem zaś jego obecność zrobiła się nie do zniesienia. Był jakiś niewydarzony, głowę miał o wiele za dużą w stosunku do tułowia i utykał na lewą nogę. Od tylu wieków ludzie nie mają żadnych drastycznych ułomności, toteż trudno przywyknąć do czegoś takiego. Wiadomo, jak się zachować, kiedy się z czymś takim zetkniesz, i na Ziemi człowiek zaraz zapomina, ale w tym pudle kosmicznym nie masz takiej szansy.

Osobiście jestem przekonany, że powinniśmy byli wyruszyć bez pomagiera. Nie przypuszczam, żebym się czuł specjalnie pokrzywdzony, gdybym musiał sam się parać brudną robotą na statku, no ale może któryś z naszej czwórki by się czuł.

Myślę, że niezależnie od postępu ludzkości zawsze znajdzie się zajęcie dla osobników niewykwalifikowanych: noszenie, sprzątanie i przetykanie kanalizacji, kiedy się zapcha. Ten nasz pomagier nazywał się Nils Blum i nikt nie zwracał na niego specjalnej uwagi.

Mamy też bezrobotną dziewczynę załogi - dezetkę. Czy słyszeliście kiedykolwiek o bezrobotnej dziewczynie załogi, i to na statku? Nie chodzi mi o to, że się wałęsa po portach kosmicznych oczekując na zaokrętowanie - to nie takie bezrobocie. Chodzi mi o to, że ona tu, na pokładzie, nie ma nic do roboty.

Dezetki to w ogóle czupiradła. Nie ma sensu stroić się, upiększać czy perfumować na pokładzie pudła kosmicznego. Nic na siłę, wszystko przyjdzie samo w odpowiednim momencie. Ale one zawsze umyte czekają tylko okazji. Są to osoby gruboskórne i tępawe, bo wrażliwość w ich przypadku nie jest pożądana. Sprawia tylko kłopot.

Wirginia, która leciała z nami, była najzupełniej denna, ucieleśniała to, co odróżnia dezetkę od prawdziwie kobiecej mieszkanki Ziemi. Miała szeroką twarz, zamkniętą i niedostępną jak drzwi skarbcza bankowego w szabas, i figurę ani taką, ani siaką, po prostu najzupełniej przeciętną. Gdyby obdarzono ją normalną osobowością, albo gdyby nie miała żadnej, mogłaby znaleźć jakieś zajęcie i wykonywać je, jak trzeba. Ale z jej osobowością... « No więc na początku po prostu się jej nie lubiło, wkrótce nie można jej było zniesić, w końcu wydawało ci się, że to jakiś stwór niższego rzędu, że nie zniesiesz tego, co pomyśleliby o tobie inni, gdybyś się do niej zbliżył. Na pokładzie naszego statku nie brakowało rozbieżnych opinii w rozmaitych kwestiach, lecz akurat nie w tej.

Tak więc mieliśmy, wierzycie czy nie wierzycie, bezrobotną dezetkę. Czytałem gdzieś o pewnym badaczu Arktyki z dawnych czasów, gdy bieguny Starej Ziemi pokrywał lód. Zwykle

zabierał ze sobą jako kucharkę najbrzydszą kobietę, jaką udało mu się znaleźć. Miała też dodatkową funkcję: kiedy zaczynała mu się wydawać do rzeczy, był to znak, że zbyt długo przebywa z dala od cywilizacji.

Być może znalazłoby się wreszcie zajęcie dla Wirginii. Tylko że pewnie wtedy nie byłoby nas już wśród żywych. O, tak, ona, to znaczy Wirginia, była na pokładzie wielce użyteczna. Ta osobowość... myślałem dużo o jej osobowości, po prostu dlatego, że na długiej wyprawie ma się pod dostatkiem czasu na rozmyślania... - otóż znałem w szkole chłopaka, który miał tak obraźliwy wyraz twarzy, tak okropnie arogancki, gdy się nie pilnował, że nauczyciele wyrzucali go za drzwi tylko dlatego, że siedział w klasie. W każdym razie dopóki się nie zorientowali, że to tylko sprawa fizyczna, i dopóki go nie przemodelowali. Może więc z osobowością Wirginii jest podobnie. Może ona też nie jest temu winna.

Wytwarzała wokół siebie atmosferę, którą Potter nazwał kiedyś “retroaktywną wątpliwością”. Jeśli Wirginia znajdowała się w pobliżu, musiałeś oddychać tą atmosferą. Powiedziałeś coś, a ona to powtórzyła w sposób - nie potrafię tego opisać, ale mówię szczerą prawdę - w sposób, który zamieniał wszystko, co powiedziałeś, w fałsz. Czasami zabrzmiało to nagle jak kłamstwo, czasami jak pomyłka, a czasami po prostu jak coś takiego, w co masz uwierzyć, bo taki z ciebie dureń. I to przez samo powtórzenie twoich słów.

Załóżmy, że powiedziałeś:

- W domu mam laskę ze srebrną gałką.

- Taak, ma pan laskę ze srebrną gałką - powtórzyłaby tym swoim głuchym, bezbarwnym głosem.

I, do diabła, człowiek zaraz zaczynał się z nią wyklócać, że naprawdę ma taką laskę. To znaczy walczyć, bronić się, jakby miał jakieś wątpliwości. Po czym ona sobie odchodziła, a ty siedziałeś i zamartwiałeś się o tę laskę, zastanawiałeś się, gdzie ją ostatnio widziałeś, czy rzeczywiście jeszcze ją masz, czy gałka jest naprawdę srebrna.

Nie musi to być zresztą nic ważnego: po prostu Wirginia potrafi wywołać takie uczucie. No a jeśli to jest coś ważnego ... o, to już lepiej o tym przy niej nie wspominaj. Myślę, że we własne nazwisko mógłbyś zwątpić, gdybyś się jej przedstawił. Prawdę mówiąc, jak sobie teraz uświadamiam, to tak właśnie było ze mną w dniu, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy (tradycyjnie w dzień po odlocie).

Podchodzę do niej w mesie i powiadam:

- Nazywam się Palmer.

A ona patrzy na mnie bez mrugnięcia okiem i mówi beznamiętnym tonem:

- Nazywa się pan Palmer. - I zmusza mnie do tego, że zanim zdołałem się opanować, dodaję:

- Naprawdę. - No i czuję się cholernie głupio.

Wyruszyliśmy za holownikiem zerograwitacyjnym i weszliśmy w ciągu sześciu godzin w matrycę drugiego rzędu - wszystko to bardzo szybko i bezboleśnie, dzięki Luananom. To są urządzenia ich pomysłu, podobnie jak siłownia statku, a także podprzestrzenna łączność o wyraźnej słyszalności przez blisko cztery doby po starcie. Czy wiecie, jaka to odległość? Proszę, wyobraźcie sobie - w cztery doby przebywa się pół drogi do Syriusza, a to niezwykle daleki zasięg jak na aparat nadawczy modulowany na normalną przestrzeń i lokalizujący wasz odbiornik.

Utkwiły mi w pamięci szczególnie biuletyny z czwartego dnia, bo wszyscy zeszliśmy się, żeby się nimi nasycić i dokładnie je przeżuć. Wiedzieliśmy, że odtąd nie usłyszymy już niczego więcej z Ziemskich Światów przez te sześć tygodni lotu do Zapory Luan, daleko po drugiej stronie Worka Węgla.

Uczciliśmy owacjami wyniki zawodów w piłce powietrznej i rozgrywek szachowych i śmialiśmy się może trochę zbyt głośno z dziecka, które przyniosło do szkoły śmierdzipsa z Nowego Marsa, a potem usłyszeliśmy ze Starej Ziemi ostatnią naprawdę ważną wiadomość, a mianowicie: Chicago zostało zamrożone od Northern Ontario Parish po granice miasta Joplin na południu.

- PSS... - wyrwało się każdemu.

- No cóż - odezwał się Potter spoglądając na swój palec - przypuszczam, że nie było innego wyjścia.

- Podczas zamrożenia zawsze giną ludzie - rzekł England o wielkich uszach.

Pamiętam, że zauważyłem: - Więcej ginie w zamieszkach.

Z grubsza wtedy sygnał zaniknął raptownie, jak to bywa, gdy się statek znajdzie poza zasięgiem radia podprzestrzennego - a my siedzieliśmy trochę strapieni. To zabawne, że tę wiadomość nad wiadomościami usłyszeliśmy jako ostatnią. Była jak kuksaniec na drogę. Przypomnienie.

Stara Ziemia to nie jedyne miejsce, gdzie dochodzi do rozruchów, bynajmniej.

Spośród osiemnastu planet w dwu tak zwanych Ziemskich Galaktykach jedynie Ragnarok i Luna - Luna nie pękają w szwach, ale i je to czeka w ciągu jednego pokolenia. Ogólnie biorąc, ludzie zachowują się poprawnie... tylko że jest ich tak wielu! Z rachunku prawdopodobieństwa wynika, że przy takiej liczbie musi się znaleźć wielu mąciocieli i musi dochodzić do rozruchów, i że będzie coraz więcej buntowników i rozruchów. O ile nie uda się nam pokonać Zapory Luan.

Zawdzięczamy mnóstwo Luananom. Jak już wspomniałem, znaczną część naszych najbardziej zaawansowanych osiągnięć technicznych zawdzięczamy przekazom z Luan.

To bardzo stara cywilizacja, jeszcze z czasów, kiedy Sol Jeden nie było słońcem.

Luananie są mądrzy i litościwi. To wygląda na frazes: litościwi Luananie, ale tak jest rzeczywiście. Naturalnie nikt ich nigdy nie widział - Zapora już się o to postarała. Nikt nie zgłębił systemu ich przekazów, chociaż oni sami starali się usilnie to wyjaśnić. Dostawałeś się w ich zasięg i tyle, a oni przemawiali do ciebie w twojej łepetynie. Wszystko, co mówią, to prawda - możesz na to liczyć, możesz na to przysiąc, dać sobie nawet uciąć rękę albo i głowę.

Niektórych rzeczy trzeba dowieść. Ale nie tego, co powiedzieli Luananie. Możesz nie wierzyć, kiedy usłyszysz to ode mnie; idź i posłuchaj sam, co mówią - a będziesz wiedzieć, że tak jest naprawdę. W ciągu tych trzystu lat kontaktów z nimi nigdy ich słowa nie okazały się nieprawdziwe, zawsze się wszystko zgadzało co do joty. Mówili, że ludzkość początkowo traktowała to cum grano salis, bo podejrzliwi jesteśmy z natury. I choć Luananie nie potrafili dać nam planów tej swojej maszyny - bo twierdzą, że ich przekaźnik myśli to tylko maszyna - to jednak zdołali opisać osobliwy mały rejestrator, który odtwarza wiernie wersję oryginalną. Kiedy wyprodukowano i rozdano kilka milionów takich aparacików, wątpliwości ustąpiły. Po prostu się rozwiały.

Niestety zamieszek wywoływanych przez przeludnienie nie można się tak łatwo pozbyć jak wrodzonej podejrzliwości. Jeśli się wpakuje dużą liczbę osób na ograniczony obszar, muszą być kłopoty. Wpakuj zbyt wielu osobników na ten sam teren i... zobaczysz. Mamy teraz szesnaście przeludnionych planet i na dodatek dwie następne bliskie już stanu, w którym zaczynają się kłopoty. A my możemy jedynie mieć się na baczności, pilnować i zamrażać całe regiony, jak tylko zaczyna się kotłować.

Po każdym zamrożeniu funkcjonariusze Planet Zjednoczonych krążą po całym terenie zbierając pokiereszowane zwłoki z samochodów i samolotów, które się rozbiły, kiedy wszyscy stracili przytomność, oraz układając wygodnie miliony ludzi tam, gdzie upadli. Obudzą się w odpowiednim momencie, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu, tymczasem zmarli zostaną dawno pogrzebani, buntownicy unieszkodliwieni, a bezpośrednie przyczyny rozruchów - obojętnie jakie, (nie bywa ich wiele) - rozsądzone i usunięte.

Podejrzewano ogólnie, że faceci z PZ rozdmuchują wieści o rozruchach i zamrażają rejon pod byle jakim pretekstem, mało kto jednak protestował. Przynajmniej za każdym razem kilka milionów osób nie rozmnażało się przez sześć do ośmiu miesięcy. Nikt jednak nie przeczy, że to czyste prowizorium.

Jeśli chodzi o całkowite zahamowanie rozrodczości na jakiś okres, to sugestia ta wpływała nieustannie na sesjach Rady i również nieustannie była odrzucana.

Przymusowa sterylizacja jest w niezgodzie z najbardziej podstawowymi prawami człowieka, a Ziemskie Światy zginą raczej, niż wyrzekną się podstawowych praw ludzkich. Toteż ginęły.

Tymczasem poza ich zasięgiem znajdowały się Ziemi Luanan - osiem wspaniałych ziemopodobnych planet obracających się wokół trzech słońc w Galaktyce III.

Osiem pięknych światów, gotowych i czekających - i my ich bowiem pragnęliśmy, i Luananie sobie tego życzyli. A my mogliśmy jedynie patrzeć, jak się obracają w przestrzeni kosmicznej, i marzyć sobie o nich - z powodu Zapory.

Mieszkańcy Luanae nie są humanoidami. O ile wiadomo, istoty te mają metabolizm borowy i w żadnym razie nie konkurują z nami, węglowodorowcami. Niczego od nas nie potrzebują, a zresztą i nie wzięliby nam niczego, gdyby nawet potrzebowali.

Kiedy informują, że mogą nam zaoferować te światy, kiedy zapowiadają, że są to światy odpowiednie, a przy tym z całą pewnością jedyne jeszcze nie zamieszkane planety w całym tym kwadrancie Wszechświata - no cóż, to mur - beton, że tak jest.

(To oni właśnie znaleźli dla nas Luna - Luna i Ragnarok, kiedy Ziemskie Światy wpadły w rozpacz, że nigdy nie znajdą żadnej nadającej się dla ludzi planety).

Zapewniają nas też co do tego, że w innych kwadrantach są dosłownie tysiące takich planet: żeby się na nie dostać, niezbędna by jednak była całkiem nowa technika, a to wymagałoby chyba ze czterech stuleci, nawet z ich pomocą Ziemskie Światy nie przetrwają czterech stuleci bez planet Luana. Z nimi jednak - z nimi może... Musimy tylko się do nich dostać. Musimy tylko przełamać Zaporę.

Zapora to sfera w przestrzeni - nie ciało, ściśle mówiąc, lecz po prostu miejsce, które można przedstawić na mapie Kosmosu jako sferę. Jest to sfera sporych rozmiarów, obejmująca jedną trzecią Galaktyki Luan, w tym naturalnie trzy małe rodzime planety Luanan i osiem pięknych niedosiężnych Ziemi Luan.

Zapora ma funkcję obronną. Wszystko, co znajduje się po stronie zewnętrznej, pozostaje poza niebezpieczeństwem; wszystko, co przeniknie do wewnątrz, natychmiast zostaje wytropione i zniszczone przez pociski Luana. To, co okazało się na tyle przemyślnie, żeby przemknąć się do środka, a potem z powrotem, niszczy sama Zapora obdarzona zdolnością zmieniania znaku materii z grubsza trzeciej części atomów w każdej dotkniętej przez nią substancji. Można sobie wyobrazić, co się działo ze wszystkim, poczynając od mikrometeorytu do słońca, jeśli zostało na to narażone. Pęczniało wprost od antymaterii i znikało w jednym oślepiającym błysku.

Galaktykę Luan odkrył trzysta lat temu stary i dychawiczny ziemski statek badawczy z silnikiem atomowym Tellera i prymitywnym napędem podprzestrzennym, który zaledwie czterokrotnie przekraczał prędkość światła. Pierwszą rzeczą, jaką statek - nazwany "Luany" na cześć żony i córki kapitana, które obie nosiły imię Luana - a więc pierwszą rzeczą, jaką zobaczyli, była Galaktyka Luan, długa, wąska, eliptyczna, z ciemnym pasem o kształcie łuku na jednej trzeciej jej długiej osi. Pas wyglądał na sztuczny, wobec tego kręcili się w pobliżu, żeby rzecz całą zbadać.

Był istotnie sztuczny. Była to Zapora, czy też raczej odcinek przestrzeni, z którego Zapora usuwała całą wdzierającą się materię. A ponieważ dotarli na odległość dwunastu lat świetlnych do niej, znaleźli się w zasięgu istot znanych obecnie pod tą samą nazwą co statek i galaktyka - Luany, Luanan.

Istoty powiedziały: Stop.

Rozległo się to jednocześnie w głowach wszystkich osób na pokładzie statku, w specyficznej oprawie bezwzględnej prawdy i całkowitej wiarygodności. Luananie powiedzieli to (jak nam potem wyjaśnili) za pośrednictwem nastawionego przed eonami lat automatu, mającego ostrzegać każdą myślącą istotę przed Zaporą. Lecz kiedy statek "Luany" zareagował (zatrzymał się), to już nie maszyna przemówiła.

Owe dziwne istoty urządziły im takie powitanie, zalały ich taką powodzią serdeczności, podziwu i gratulacji, że podobno wszyscy na pokładzie spoglądali na siebie w osłupieniu i popłakiwali. A wraz z powitaniem ostrzeżenie. Nie zbliżać się.

Luanie wyrzucili z wnętrza Zapory kilka milionów metrów sześciennych gruzu i pozwolili zdumionej załodze statku oglądać przez trzy godziny piekielny pokaz zniszczenia - na najbliższych krawędziach niewidzialnej Zapory. Zachęcali do dokonania doświadczeń, proponując, żeby ze statku rzucono coś na Zaporę.

Rzucono. Wszystko, co przenikło przez powłokę Zapory, zostało doścignięte i zniszczone, jak się wydawało, przez niewielkie samonaprowadzające się pociski.

Każda materia, przenikająca przez powłokę Zapory po cięciwie i pojawiająca się ponownie, buchała płomieniem przy wyjściu. Ludzie na pokładzie statku odczuli aż do szpiku kości, że są witani - gorąco i żarliwie. Wiedzieli też, że ich ostrzeżono.

Statek przebywał w pobliżu Zapory przez ponad rok, zbierając to, co się okazało najcenniejszym skarbem, jaki od niepamiętnych czasów przywiózł na Ziemię którykolwiek statek kosmiczny - wiedzę. Wiedzę, dzięki której we wszystkich fabrykach na wszystkich planetach ziemskich zbudowano siłownie rhigonuklearne.



Nowe projekty. Nowe reguły matematyki i mechaniki przestrzennej. Nowe metody, nowe idee, takie, które Ziemianie mogliby prawdopodobnie odkryć sami za jakiś tysiąc lat, oraz takie, do których nigdy by bez czyjejś pomocy nie dotarli.

Najdrobniejszy szczegół był istotny. Każdy zawierał obietnicę dalszych osiągnięć, kiedy tylko przyswoimy sobie ów niewiarygodny ładunek wiedzy.

Statek inspekcyjny "Luany" dotarł do Ziemijskich Światów, spotkał się tam wówczas, jak mówią, ze znacznie silniejszą podejrzliwością, niż można to sobie wyobrazić dzisiaj. Podobno zamierzano kapitana postawić przed sąd wojenny za to, że zmarnował cały ten czas na wymyślanie niestworzonych historii. Mówi się też, że powstał potężny ruch zmierzający do utajnienia wszystkiego, co przywieźli - w obawie, że nowa technika mogłaby się okazać koniem trojańskim. Lecz czysto ludzka przewrotna ciekawość przeważyła i, choć niespiesznie się do tego zabrano, wkrótce urządzenia i zasady Luanan sprawdziły się, i to wprost nadzwyczajnie.

Niedługo potem ludzie wrócili. W dużej liczbie. Zmierzali do pokonania Zapory - pokojowego, o ile to możliwe, niemniej pokonania. Większość statków, większość śmiałków nie podjęła tej próby, tak wielki wpływ miała prawdomówność i przyjazne uczucia mieszkańców Luan.

Niektórzy jednak podejmowali próby, taranując, bombardując, ściągając statki napędzane generatorami hipermagnetycznymi, żeby spróbować naruszyć nieuchwytną strukturę Zapory. Wszystkie te usiłowania kończyły się niepowodzeniem; ci, którzy dotknęli Zapory, ginęli. W takich wypadkach zawsze rozlegał się wielki bezdźwięczny krzyk żalu ze strony Luanan, a Zapora pozostawała.

Kiedy statek badawczy ich odkrył, Luananie wyjaśnili w sposób prosty i jasny, dlaczego jest tam Zapora i dlaczego pozostanie. Ta historia wydawała się zbyt prosta, a ponadto zaciemniała ją taka masa innych informacji, że ją przeoczono, czy też w ogóle w nią nie uwierzono. Trzeba pamiętać, wydarzyło się to, zanim utrwalono słowa Luanan, zanim miliony ludzi mogły same "usłyszeć", jaki naprawdę jest ich przekaz. Zapewne mieszkańcy Luan zdawali sobie z tego sprawę; w każdym razie historia Zapory znalazła się w pierwszym zapisie, który szeroko rozpowszechniono, i jej wpływ był przemożny.

Taka prosta historia... istoty pod wieloma względami podobne do ludzi, może nieco bardziej uzdolnione technicznie, może pod pewnymi względami mniej wymagające... no cóż, żyły znacznie dłużej, czerpały znacznie mniej z ziemi, żeby utrzymać się przy życiu. Istoty owe też miały powody do dumy - choćby sztukę możliwą do wyobrażenia tylko poza Zaporą i pewnego rodzaju muzykę.

"Przesłali" nam nieco ze swojej literatury, jak wiecie... hmm. Miały również czego się wstydzić. Na przykład wojen, wielkich wojen. Trzykrotnie o mało się nie załatwili wszyscy i

musieli zaczynać od nowa. Potem nastąpił długi okres rozkwitu, który wydawał się czymś dobrym, wspaniałym. Rozwinęli w sobie uczucie litości, filozofię szacunku dla tego, co żyje, i dążenie do harmonii z prawami Wszechświata - a to coś więcej niż religia, więcej niż po prostu sposób życia i myślenia. Dzięki temu mnóstwo rzeczy stało się im niepotrzebne i zapomnieli, że mają ręce...

Kiedy zaatakowano ich z Kosmosu (zdarzyło się to przed tysiącami lat), nie potrafili się w ogóle bronić. Większość ich bajecznej techniki popadła w zapomnienie; maszyny zardzewiały, umiejętności zanikły, a co gorsza zapomnieli, jak się organizować, jak się zjednoczyć pod wodzą jednego człowieka - na czas wojny. I tak popadli w niewolę.

Wreszcie - po jakichś trzydziestu tysiącach lat - udało im się zerwać okowy. - Kiedy wypędzili najeźdźcę, podążyli za nim i zniszczyli go wraz z jego planetami; byli ludem przerażonym i trzeźwo myślącym. Zamiłowanie do spokoju, samorealizacji osobistej, indywidualnej stało się dla nich wspomnieniem - niezwykle boleśnie odczuwali jego utratę. Powrót do potęgi materialnej (w ich opinii) oznaczał upadek, degenerację. Niemniej dostali nauczkę i dobrze ją sobie zapamiętali. Zdecydowali się bronić w taki sposób, żeby już nigdy - kategorycznie, absolutnie, i na wieczne czasy, w najodleglejszej przyszłości i niezależnie od tego, jak głęboko pograżą się w swoich nieokreślonych przyjemnościach - nie można ich było zaatakować.

I tak po odpowiednich deliberacjach zdecydowali się na Zaporę. Przeszawili całą produkcję - olbrzymią od czasów ostatniej wojny - i całą swą pomysłowość na skonstruowanie obrony nad obronami. Wyznaczyli odcinek otaczającej ich przestrzeni kosmicznej, świadomie powiększając dziesięciokrotnie obszar określony przez ich komputery jako maksimum tego, czego mogliby kiedykolwiek potrzebować. Skonstruowali planetoidę i umieścili ją na orbicie wokół wygasłego słońca niedaleko swojego centrum kulturalnego. Ta planetoida nadzorująca - poniekąd wciąż jeszcze zbyt zaawansowana technicznie jak na nasze ludzkie możliwości - wytworzyła i utrzymywała Zaporę. Ponadto ściągała i wchłaniała kosmiczne odpady, a jej mamucia maszyny przetwarzała je, przetapiała i odlewała, produkując niezliczone pociski, duże i małe. Zmagazynowano ich setki tysięcy lokując na najprzeróżniejszych, automatycznie wyliczonych orbitach w obrębie przestrzeni strzeżonej przez Zaporę. Dlatego też wszystko, co przeniknęło przez Zaporę z jakiegokolwiek kierunku, było natychmiast niszczone.

Początkowo niepokojono się, że Zapora musi z samej swej natury zniszczyć wszystko, co opuszcza strzeżoną przestrzeń, tak jak pociski niszczą każdy obiekt dostający się w ich zasięg. Lecz wydaje się, że odpowiedź na pytanie: "Dlaczego by nie?" jest zbyt oczywista, Luananie nie wybierali się nigdzie. Mieli pod dostatkiem przestrzeni, a nawet dziesięć razy więcej, niż trzeba na każdą wyprawę, jaką postanowiliby zrobić. A robili raczej niewiele, skłaniali się bowiem ku przeszłości,

ku temu złotemu wiekowi introspekcji, kontemplacyjnej, wewnętrznej autorealizacji, i tęsknili do niej przemożnie.

I w ten oto sposób odizolowali się od Wszechświata, zamykając się na klucz. A klucz wyrzucili.

Planetoida nadzorująca to maszyna - automatyczna, samoreperująca się, napędzana rhigonuklearną reakcją dwu izotopów wodoru, którego zawsze będzie pod dostatkiem. Wytwarza ona pociski i robi z nich użytek. Gdy ich użyje, zbiera pozostały pył, regeneruje go i wytwarza następne pociski. Kiedy jakaś zdążająca na zewnątrz materia zostaje zniszczona przez wewnętrzną powłokę Zapory, kumuluje ona energię promienistą stosu i popioły, następnie wchłania je i wykorzystuje.

Jest nie do pokonania, niewyczerpalna, niestrudzona i wieczna. Przyniosła bezpieczeństwo i pokój.

Przyniosła też zagładę koczownicemu ludowi o tak nieprzeciętnym intelekcie i "wielkiej duszy", jak to przetłumaczono z przekazów Luanan, że ci - w owym czasie już znowu pogrążeni w swojej niepojętej metafizyce - ocknęli się i patrzyli, przejęci lękiem, pełni współczucia i świadomi, jak lud ów się zbliża.

Nigdy się już nie dowiemy, kim byli przybysze. Nawet Luananie tego nie wiedzą.

Twierdzą tylko, że trzydzieści tysięcy lat ich niewoli po najeździe to ledwie draśnięcie czy ból wywołany przez nadeptanie palca u nogi w porównaniu z raną zadaną przez świadomość, iż spowodowali zagładę bezimiennych koczowników. Istoty owe, nie znające tego czegoś, co nigdzie indziej we Wszechświecie nie istniało, bez ostrzeżenia i przygotowania zostały rzucone na Zapórę, która je pochłonęła.

Nie sposób opisać, jaki wpływ miało to wydarzenie na Luanan. Już i tak uwikłani w swoją pradawną filozofię harmonii ze Wszechświatem i respektowania wszystkiego, co naturalne, litościwi, pełni szacunku dla życia, skromni i dobrotliwi - obserwowali z wielkim przerażeniem zagładę istot tak ogromnie ich przewyższających. Uświadomili sobie wówczas rozmiary swojego szaleństwa, swoją zbrodnię - stworzenie Zapory.

W tym okresie dalecy już byli od szczytów osiągnięć technicznych, ponownie więc ku nim zmierzali, by je nawet przekroczyć. Zmobilizowali się do rozmontowania tego, co stworzyli, powodowani poczuciem winy i grozą wywołaną przez swój czyn.

Było to ukrzyżowanie nad ukrzyżowaniami, morderstwo nad morderstwami, Mesjasz nad Mesjaszem - ich niezrównana ofiara.

I doznali porażki. Zrobili Zapórę zbyt dobrze. Planetoida niszczyła wszystko, co się do niej zbliżyło. Otaczały ją miniaturowe wersje wielkiej Zapory, niektóre z nich skierowane do środka,

tak że z każdej strony natrafiało się najpierw na warstwę bojową. Roznosiła na strzepy w przeciągu mikrosekundy cokolwiek na nią rzucili, pochłaniała to, trawiła, żywiła się tym.

Luananie podjęli wtedy przeraźliwą próbę za kolosalną cenę - wystrzelili tysiące pocisków, pojazdów kosmicznych, wyrzucili skały, odpady, manewrując, jak tylko się dało, między gwiazdami i planetami. Planetoida nieubłaganie lokalizowała nieproszoną materię, porównywała ją z zakodowanymi w swej pamięci danymi odnoszącymi się do dopuszczalnych ciał i dozwolonych orbit, po czym odnajdowała i niszczyła niepożądane obiekty, zupełnie nie dbając o to, że wiele z nich, tragicznie wiele, miało załogi.

Luananie w pewnym momencie odkryli, że planetoida wytwarza pociski i energię ponad swe pierwotne możliwości, pochłaniając więcej, niż planowano, tworząc więcej i szybciej. Wobec tego zaprzestali ataków, zdawszy sobie sprawę, niestety poniewczasie, że sami przyczynili się do jej powiększenia i umocnienia - był to oczywisty skutek przeciążenia ponad przewidywaną początkowo wytrzymałość samoreperującej się maszyny.

W tej sytuacji pozostało im, jako istotom wrażliwym, jedynie wysyłanie ostrzeżeń. Wynaleźli sposób przekazywania całej gamy informacji, przewyższając pod każdym względem język, a nawet wszelką symbolikę. Zbudowali automatyczne radiolatarnie, które nieustannie wysyłały we wszystkich kierunkach ostrzeżenia.

Z uczuciem goryczy ustanowili kontrolerów do nadzorowania automatów, którym już nigdy więcej mieli nie ufać. Kontrolerów poddano ostrym rygorom, niczym kapłanów, musztrując ich jak legiony niewolników, zakodowując im poczucie obowiązku.

Kiedy Luananie już to zrobili i wypróbowali, wykluczając możliwość omyłki czy niepowodzenia, zaczęli nowe życie: nie ślepo mechaniczne, którego produktem była planetoida, i nie wegetacyjno - kontemplacyjne, przez które popadli w niewolnictwo - wiedli teraz życie jakby pośrodku, oparte na pradawnych zasadach respektowania natury i jej form w surowym i wspaniałym układzie Wszechświata, ale dopełnione nie zżeraną przez rdzę techniką.

I tak oto mieszkańcy Luan zdołali wreszcie dokonać swojego największego i najbardziej dojrzałego odkrycia - rzeczy znanej każdemu z nich jako jednostce, lecz dotąd nie uświadomionej przez zbiorowość. Człowiek nie może żyć w izolacji.

Musi być częścią czegoś, elementem, składnikiem większej całości. Ludzie tworzą miasta, miasta łączą się w okręgi, a te w kraje, wreszcie w światy, i nigdy jednostka, odizolowana i odcięta od innych, nie mogła się ostać. Łączność i stosunki wzajemne są niezbędne i istotne dla życia, bez nich pojedyncza jednostka to jedynie krótkie wydarzenie, nie zauważone przez Wszechświat i zapomniane na zawsze.

Tak więc ukryci za swoją gigantyczną, straszną barykadą Luananie uznali się w końcu za członków ugrupowania większego niż gatunek i zadeklarowali, iż przynależą do Życia i pragną przetrwania wszystkich członków wspólnoty.

Wtedy właśnie ów lud, który sam się uwięził, został odkryty przez statek wysłany na poszukiwanie planet nadających się do zamieszkania przez Ziemian. Luananie ożywili się na jego widok, powstali z okrzykiem radości. To było życie, życie, któremu można pomóc i które można dzielić. Zanim bowiem przyszła do nich Ziemia, uważali się za dogorywających, jak oblężone miasto, jak samotny wędrowiec, jak amputowana część ciała, jak każde życie oddzielone od podtrzymującego je organizmu. Ziemia przyniosła życie Luananom, a Luananie zaoferowali jej współpracę w poszukiwaniu życia.

Parszywa wyprawa. Samobójcza wyprawa, z kapitanem i pomagierem o ograniczonych horyzontach, dostrzegającymi tylko swoje obowiązki, z trzema pomyłkami i bezrobotną, bezużyteczną dezetką. I ja, Palmer, dysponujący tym, co mogło być właściwą odpowiedzią.

Wierzyłem w swoje rozwiązanie; podobała mi się jego matematyka. Mam słabą nadzieję albo w ogóle żadnej na jego zastosowanie - rzeczywiste zastosowanie w całej pełni i na dodatek właściwie przeprowadzone. Ludzie za mało wiedzą. Nie myślą należycie. Przekręcają niewłaściwe pokrętła i naciskają niewłaściwe guziki. Palmer musiałby mieć tysiąc rąk i zdolność przebywania jednocześnie w tysiącu miejsc. Wtedy ocknięcie się w punkcie węzłowym historii Życia i życia dwu kultur - miałoby większy sens.

Zostanę wyrzucony na śmietnik historii, powiedziałem sobie, kiedy znaleźliśmy się w nicości podprzestrzennej - podprzestrzeni Luan, wypełnionej przez generatory rhigonuklearne Luanan. Przybywam, przybywam, przybywam, powiedziałem cicho Luananom, ale przybywam wraz z nieprzyjacielem, z fuszerką; a wy, moi wspaniali, nie oprzecie się głupocie tak jak ja, bo to ostatni inajsilniejszy nieprzyjaciel ze wszystkich, wobec którego i wy, i ja możemy się okazać bezsilni.

Obserwowałem, jak Potter chwyta się za koniec nosa, i w milczeniu znośłem pokastywanie Donata, i aprobowałem Englanda o wielkich uszach, bo tak rzadko się do nas odzywał; próbowałem sobie uzmysłwić, co właściwie mnie tak rozbawiło, gdy po raz pierwszy ujrzałem Nilsa Bluma, tego naszego pomagiera; miałem nadzieję, że sobie to przypomnę i znowu się roześmieję, ale nie udało mi się niestety.

Przeklinałem więc wieczną chęć pomocy ze strony Donata i ignorowałem kapitana, bo któż chciałby przez cały czas gadać o statku i sprawach związanych ze statkiem? Nie odzywałem się, jeśli nasza dezetka mogła mnie usłyszeć, i robiło mi się nieprzyjemnie, kiedy widziałem, jak ten czy inny z moich towarzyszy jąka się, broni i wątpi w swoje własne słowa powtórzone przez nią.

Jeśli chodzi o te utrapienia, to nie zrobiłem nic, poza tym, że zaproponowałem kapitanowi, żeby wydawano dezetce posiłki o innej porze niż nam, żebym nie musiał być świadkiem bezsensownego podważania nawet najoczywistszych rzeczy.

Kupił moją propozycję, co dało podwójną korzyść. Zaoszczędzono nam nie tylko jej widoku przy posiłkach, lecz w ogóle jej widoku, bo zaczęła spędzać czas w "klicie" wśród mioteł, środków czyszczących i przepychaczy do kanalizacji. Jeśli Nils Blum miał coś przeciwko temu, to mógł dla odwrócenia uwagi zająć się drapaniem czy żuciem słomki.

Przechodziłem tamtędy kiedyś i widziałem, że siedzą po przeciwległych stronach małego stolika Bluma, niemal stykając się łokciami, nie odzywając się i nie patrząc na siebie. I, na Boga, ona płakała, co, muszę przyznać, sprawiło mi satysfakcję. Pomyślałem, że spytam Bluma, jak mu się udało tego dokonać, ale nie zadawałem się z osobnikami z personelu niewykwalifikowanego.

Dotarliśmy tam, dokąd zmierzaliśmy, i umknęliśmy z niczego - w coś. Wzięliśmy namiar na Galaktykę Luan i muszę powiedzieć, że był to niezły widok - długa, nieregularna kiszka galaktyki z nieomylnym drogowskazem; długim, czarnym pasmem Zapory, tam gdzie ją postawiono i odcięto nią resztę ciał tego układu.

Zanurkowaliśmy na pół godziny i wynurzyliśmy się znowu zbyt blisko, żeby widzieć to pasmo, ale wystarczająco blisko przynajmniej na to, żeby odebrać pozdrowienia Luanan. O tym nie warto opowiadać.

Kapitan Steev wezwał nas wszystkich do mesy przed południem, co by mnie zirytowało, gdybym zdołał wymyślić coś innego, ale po prostu nie mieliśmy nic do roboty czy też nic, co by się miało ochotę robić.

Powlokłem się więc tam z nimi wszystkimi: z Potterem, Englandem, Donatem. Blum i dezetka zostali wśród swoich mioteł, jak sędzę. Kapitan polecił nam usiąść, sam zaś stanął przy końcu stołu i trochę zakłopotany stuknął w kubek od kawy.

- Przybyliśmy na miejsce akcji. Mamy w waszej czwórce czterech specjalistów z czterech rozmaitych dziedzin, reprezentujących, jak rozumiem, cztery różne metody sforsowania Zapory Luan. Nie muszę mówić - powiedział i ciągnął dalej, jakby jednak musiał - nie muszę mówić o doniosłości tego zadania. Cała historia ludzkości może zależeć, a właściwie nie tylko może, lecz naprawdę zależy od niego. Jeśli wam lub takim jak wy nie uda się szybko rozwiązać tego problemu, możemy oczekiwać, że cała nasza cywilizacja eksploduje jak gasnące słońce na skutek wewnętrznego ciśnienia własnej kurczącej się masy.

Zakasłał, żeby pokryć kwiecistość swego stylu, i mały Donato skwapliwie przyłączył się do niego. Zobaczyłem, że jedna z dużych dłoni Englanda poruszyła się na stole, nakrywając i przyciskając drugą do blatu.

- A więc... - podjął kapitan. Zgiął się w pasie i wyjął rękę z kieszeni. Miał w niej mały, lśniący mikrofon. - Trzeba to nagrać, panowie. Pan Palmer pierwszy?

- Ja pierwszy? Ale co? - chciałem wiedzieć.

- Pański plan. Pańska metoda, atak, jak pan zresztą zechce to określić.

Proponowany przez pana sposób sforsowania Zapory.

Rozejrzałem się po swoim audytorium, kaszlącym, chwytającym się za nos, spoglądającym spode łba łzawym okiem.

- Przede wszystkim mój plan został przedstawiony ze wszystkimi szczegółami odpowiednim władzom, ludziom znającym się na mojej dziedzinie. Wierzę, że kopie tych papierów ma pan do dyspozycji. Proponuję, żeby je pan przejrzał i zaoszczędził nam obu fatygi.

- Obawiam się, że pan źle zrozumiał - odparł kapitan jakby podniecony. Wskazał na mikrofon. - Ma to być nagrane. Muszę mieć ustną relację. To jest... to jest... no... do nagrania.

- Wobec tego powiem, niech zostanie nagrane - warknąłem prosto w mikrofon. - Nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby proszono mnie o wygłaszanie przemówień przed nefachowym audytorium, od którego nie można oczekiwać zrozumienia nawet jednej dziesiątej tego, co mam do powiedzenia. Odsyłam więc nagrywających i słuchaczy, kimkolwiek są, do archiwum, gdzie znajduje się moje szczegółowe sprawozdanie, żeby przekonali się o istnieniu mojego projektu, a także o tym, że zarówno zgromadzeni tu, jak i bez wątpienia słuchający niniejszego nagrania nic z niego, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie rozumieją. Absolutnie nic. - Spojrzałem na kapitana. - Czy to wystarczy, jeśli chodzi o zapis, poruczniku?

- Kapitanie - poprawił mnie łagodnym tonem. - Wystarczy.

- Błąd - uznałem.

- Nigdy nie robię błędów przypadkowo, rozumie pan. - Machnąłem ręką w stronę mikrofonu. - Czy pan ma coś przeciwko temu, żeby już tak zostało?

- Pan Potter - powiedział kapitan, a ja odchyliłem się do tyłu zadowolony z siebie.

Potter na chwilę zostawił swój nos w spokoju, ale potem znowu zaczął się za niego chwytać.

- Ja nie bab nic przeciwko opowiedzeniu o boib planie - rzekł, jakby miał katar.

- Pracuję w dziedzinie bechaniki, jak wiadobo. Wykonałem pewne obliczenia, które wskazują, że naprężenia na powłoce Zapory podlegają chwilowymb zniekształceniob na skutek naprężenia bałych pól, wysokie napięcie zogniskowało pola bagnetyczne o wartości około stu bilionów gausów na centymetr kwadratowy. To znaczy bilionów - uściślił - bilionów.

Zastanawiałem się, jak w nagraniu wyjdzie ta różnica.

- Bardzo dobrze, panie Potter - skostatował kapitan. - O ile się nie mylę, to proponuje pan chwilowe naruszenie ciągłości Zapory przy użyciu skupionego pola magnetycznego o wysokim natężeniu. Czy tak?

Potter potwierdził gestem prawego nadgarstka.

- Bardzo dobrze - powtórzył kapitan.

Wydmuchnąłem powietrze przez nos, ze wstrętem patrząc na Pottera. Jego pomysł był tak samo wstrętny jak to jego szczypanie się w nos. Gdybym wiedział tak mało w swej dziedzinie, jak on w swojej, nie dałbym się wciągnąć w dyskusję.

- A pan Donato?

- Tak jest, panie kapitanie, tak jest! - zawołał Donato, cały zarumieniony i ochoczy. - Tak, panie kapitanie, zajmuję się balistyką. Jeśli chodzi o mnie, to proponuję pocisk dwuczęściowy. Ma on musnąć Zaporę w taki sposób, żeby się w chwili zetknięcia z nią rozdzielić; jedna część odbije się i polecą na zewnątrz, druga przeniknie do środka. Teoretycznie jest tak, że chociaż planetoida kontrolująca reaguje natychmiast, to jej czujniki meldują tylko o jednym wydarzeniu w jednym miejscu w danym momencie. Wydaje mi się, że wobec tego mam połowiczną szansę na przedostanie się jednej części pocisku, podczas gdy druga, zgodnie z meldunkami, draśnie tylko Zaporę i zniknie. Myślę, że najmniej sto trzydzieści pocisków wystrzelonych w czterech grupach i pod czterema różnymi kątami wykazałoby, czy ta teoria się sprawdza.

- Sprawdza? - wykrztusiłem. - Ach, ty pajacu... - Po raz pierwszy w życiu nazwałem tak kogoś, ale patrząc na Donata, który czerwienił się i szczyrzył zęby, żeby się za wszelką cenę przypodobać, nie mogłem znaleźć odpowiedniejszego epitetu. - Co cię upoważnia do myślenia...

- A pan England? - odezwał się kapitan znacznie głośniejszym głosem niż kiedykolwiek przedtem.

Muszę wyznać, że to mnie zaskoczyło. Zanim zdołałem się otrząsnąć ze zdumienia, England zabrał głos.

- W zakresie pocis... - powiedział szeptem i w tym miejscu głos odmówił mu posłuszeństwa. Przełknął z trudem ślinę, następnie przez jego twarz przemknął słaby uśmiech. - W dziedzinie pocisków interesują mnie głównie: po pierwsze, seria prób, które określiłyby właściwą naturę wewnętrznych impulsów sterowania w pociskach samonaprowadzających się na cel, częstotliwość i wysokość fali impulsów naprowadzających w pociskach kierowanych, z punktu widzenia możliwości zagłuszenia lub zmiany ich kierunku. Po drugie, zamierzam przerzucić pewne ciała stałe przez Zaporę przy niskiej prędkości, żeby zbadać skład stopu w pociskach, mając na względzie zaprojektowanie urządzeń unikowych i może jakiegoś pola odpychania powodującego zboczenie pocisku z toru.



- Bardzo zwięzłe - orzekł kapitan, a ja zdziwiłem się, skąd on wie, co jest, a co nie jest zwięzłe w tej dziedzinie. - Teraz, kiedy nasza mała dyskusja się rozwinęła, być może pan Palmer zechciałby zrewidować swoje stanowisko i wziąć w niej udział.

- Może zechciałbym... - odparłem, przerywając, żeby sobie to przemyśleć.

Ostatecznie warto by przydać nieco sensu temu pokazowi bredzenia i braku kompetencji, choćby tylko dla równowagi.

- Zatem jeśli musi pan koniecznie wiedzieć - odezwałem się - jedynej dającej się obronić metody podejścia do tej kwestii trzeba szukać w dziedzinie naprężenia wybuchowego. Nikt prócz mnie, jak się wydaje, nie zauważył niemal idealnie kulistego kształtu Zapory. Kula z każdego elastycznego materiału to niezawodna wskazówka napięcia dynamicznego, zasobnik i zasób w równowadze, analogicznie jak powietrze wewnątrz i na zewnątrz nadmuchanego balonika. Nie nadąża pan za moim rozumowaniem.

- Proszę kontynuować - powiedział kapitan, tak przechylając głowę, jakby mnie słuchał.

- Trzeba więc tylko toroidalnej masy wyposażonej w generator podprzestrzenny oraz alternator. Jeśli to zostanie umieszczone na krawędzi Zapory i wprawione w drganie w kierunku do wewnątrz i na zewnątrz podprzestrzeni, to część Zapory, ta, która otacza toroid, wpadnie w wibrację. W rezultacie osiągnie się następnie to, że kulisty wycinek Zapory znajdzie się okresowo w stanie niebytu. Wnioskuje zatem, że owo małe naruszenie spowoduje zniszczenie Zapory, podobnie jak w wypadku balonika, o którym wspomniałem. Quod erat demonstrandum, panie poruczniku. - Odchyliłem się do tyłu.

- Kapitanie - poprawił ze znużeniem. Potem spojrzał mi w oczy i oznajmił: - Przykro mi, panie Palmer, ale muszę pana poinformować, że myli się pan całkowicie. Blum! - ryknął nagle. - Dawać kawę!

- Ehm! - Dobięł do moich uszu głos pomagiera. To była w jego ustach odpowiedź najbardziej zbliżona do "Tak jest, proszę pana".

Musiał chyba już wcześniej wszystko przygotować, zanim kapitan zawołał, bo prawie natychmiast pojawił się z tacą pełną dymiących filiżanek. Postawił ją na środku stołu, sam wycofał się w róg mesy. Kątem oka dostrzegłem dezetkę, która wynurzyła się z "klity" i stanęła w milczeniu obok niego. Nie obchodziło mnie jednak nic, prócz tego niedorzecznego twierdzenia kapitana. Zerwałem się na równe nogi, mogłem więc patrzeć na niego z góry.

- Czy mam rozumieć - wycedziłem ze spokojem godnym Neptuna - że pańskim zdaniem ja się mylę?

- Myli się pan, i to całkowicie. Zapora to położenie, miejsce w przestrzeni; to nie substancja materialna, a wobec tego nie podlega prawom i oddziaływaniu materii jako takiej.

Znany jestem z tego, że bryzgam śliną, kiedy ogarnie mnie złość, a nie próbuję się opanować. Okazało się, że tym razem staram się opanować, i to ze wszystkich sił.

- Sprowadziłem wszelkie informacje dotyczące tej powłoki znane człowiekowi - poinformowałem go - do symboli matematycznych, po czym zapisałem kolejne sekwencje okoliczności, które dowodzą bez najmniejszej wątpliwości, że powłoka jest taka, jak mówiłem, i będzie się zachowywać tak, jak mówiłem. Pan, admirale, zdaje się zapominać, że wszystko zostało nagrane, co może oznaczać, że zrobi pan z siebie głupca, i to na zawsze, nie na chwilę.

Siadłem, poczułem się lepiej.

- Kapitanie - poprawił mnie ze znużeniem w głosie kapitan.

Odwrócił się i wziął jakiś papier ze sterty teczek, które, jak zobaczyłem dopiero teraz, leżały za nim. Spojrzał na ten papier; na pierwszy rzut oka wyglądał on jak stronica z wykresami, na których jakiś dzieciak nabazgrał prymitywną choinkę świąteczną.

- Równanie sto trzydzieści dwa, cztery pi sigma przez theta plus pierwiastek kwadratowy z czterech pi sigma do kwadratu - wyrecytował, a ja nie mogłem nie spostrzec, że cały czas machał tym papierem, nie czytając z niego.

- Poznaję to równanie - przyznałem. - No i co?

- Nic - burknął kapitan. - Niedobre, powiedziałbym. Hm. - Przysunął mi arkusz. - Jak zechce pan zauważyć, żeby być w zgodzie z poprzednimi ciągami, liczba całkowita sigma to silnia, wobec tego wprowadza się tu rosnący błąd, ale niech pan sam zobaczy.

Popatrzyłem. To, co przypominało prymitywny rysunek choinki, było zrobioną na czerwono poprawką symbolu, wspomnianego przez kapitana, i nagryzmołonych wykresów trzech skorygowanych współczynników w następnym równaniu, i siedmiu w trzecim, aż w końcu czerwone znaki zamieniły się w jedną linię.

- Mógłbym się dowiedzieć, kto był na tyle bezczelny, żeby gryzmolić po tych obliczeniach?

- Ja - odparł kapitan. - Myślałem, że może okazać się użyteczne przerobienie wszystkich tych ciągów, na wszelki wypadek, i jestem rad, że to zrobiłem. Pan też powinien być rad.

Spojrzałem raz jeszcze na ten arkusz i przełknąłem przekleństwo. Trzeba się specjalizować przez dłuższy czas w wysoce twórczej matematyce, żeby potrafić zrobić to, co tu zrobiono. Na końcu języka miałem to i owo, ale wołałem milczeć, bo to, co miałem do powiedzenia, przemawiało na korzyść moich obliczeń, przeciwko jego obliczeniom, a tymczasem nie mogłem zaprzeczyć, że to jego obliczenia były poprawne.

- Myślę, panie kapitanie - warknąłem w jego stronę, chcąc ratować sytuację - że należy mi się wyjaśnienie, dlaczego postanowił pan skompromitować mnie publicznie?

- Nie skompromitowałem pana. To te obliczenia pana kompromitują - odparł wzruszając ramionami.

Spojrzałem na Pottera i Englanda. Uśmiechali się szyderczo. Podniosłem nagle głowę i natknąłem się na beznamiętne szare oczy dezetki.

- Są to pańskie obliczenia - mruknęła i każdy przysięgłby, że ona wie z całą pewnością, że przepisałem je z cudzej pracy. Gorzało we mnie tak płomienne przekonanie, że są to moje własne obliczenia, że z trudem mogłem się opanować.

Opanowałem się jednak, nie były to przecież obliczenia, do których w tym momencie chciałem się przyznawać.

Czułem się bardzo zmieszany. Opadłem na krzesło.

- Kolej na pana, panie Potter. Przykro mi, ale muszę pana poinformować, że choć teoretycznie Zapora zachowuje się pod działaniem pola magnetycznego tak, jak pan tu opisał, to jednak żeby osiągnąć taką jego wartość, trzeba by generatora większego niż ten statek; zasięg pola byłby z grubsza taki, jak pan mówił...

centymetr kwadratowy; i wreszcie, nie byłaby to dziura w Zaporze, lecz raczej coś, co mógłby pan określić mianem łatki. Inaczej mówiąc, zaatakowane pole, gdy zostanie otoczone przez tak zwaną powłokę Zapory, będzie się zachowywać pod każdym względem identycznie jak część owej powłoki.

Potter wyciągnął ulubiony palec, żeby go sobie obejrzeć, ale był tak przygnębiony, że zapomniał nań popatrzeć.

- Czy jest... jest pan pewien? - spytał.

- Tak było podczas ostatnich siedmiu prób.

Potter wydał jakiś nieartykułowany dźwięk, jęk czy westchnienie. Nie miałem ochoty śmiać się z niego, jak on ze mnie. England też jakoś nie szerzył zębów, bo, Jak sądzę, wiedział, co się szykuje. Siedział zastanawiając się. Jaką to przybierze formę.

Najpierw dostało się Donatowi.

- Pan Donato...

- Słucham, panie kapitanie.

- Pan proponuje dwuczęściowy pocisk. Wydaje się, że pan zapomniał, podobnie jak wielu przed panem, że Zapora nie stawia oporu, kiedy się przez nią przenika, a wobec tego przedostanie się do środka nie wymaga skomplikowanych sztuczek.

Ponadto nie jest istotne, czy obiekt wyczuje powłokę i zawiadomi centrum kontrolne, czy też zostanie on doścignięty w minutę albo godzinę później przez jeden z pocisków samonaprowadzających się na cel. Podeszedł pan do całego problemu z punktu widzenia

przeniknięcia w obręb Zapory, co nie stanowi problemu, a zignorował pan kwestię, co tam wewnątrz robić, która właśnie stanowi sedno sprawy.

- Och, panie kapitanie, przepraszam - powiedział Donato, dotknięty do żywego.

Dostał ataku gwałtownego kaszlu przypominającego szczekanie. Łzy pojawiły mu się w oczach. - Och, przepraszam, przepraszam.

- Nie ma co przepraszać - odparł kapitan. - Kapuje pan już, panie England?

- He? Och - odezwał się specjalista od pocisków. - Przypuszczam, że palnąłem byka z tym zagłuszaniem. Nagle mi się wydało rzeczą oczywistą, że musiano już tego próbować i nie udało się.

- Właśnie, nie udało się. A to dlatego, że częstotliwość i amplituda impulsów sterowniczych naśladują najczystszy szum, są autentycznie przypadkowe. Zatem próba zagłuszania ich przypomina próbę zagłuszania sygnału modulacji częstotliwości za pomocą sygnału modulacji amplitudy. Trafia się tak rzadko, że równie dobrze można nie próbować.

- Co to znaczy przypadkowe? Nie można niczego kontrolować za pomocą przypadkowego dźwięku.

Kapitan wskazał kciukiem przez ramię w stronę Galaktyki Luan.

- Oni mogą. W pociskach znajduje się generator synchroniczny, który reprodukuje ten sam przypadkowy dźwięk, każdą wartość szczytową, każdy impuls. Kiedy się już to zrobi, modulacja nie stanowi problemu. Nie wiem, jak oni to robią, po prostu robią, i tyle. Luananie nie potrafią tego wyjaśnić; to wynalazek planetoidy.

England zwiesił nisko głowę, niemal do stołu.

- Ten sam przypadkowy... - szepnął balansując na krawędzi zdrowego rozsądku.

Jakby pragnąc pchnąć go ostatecznie ku szaleństwu, kapitan dodał wesołym tonem:

- Dobra myśl ta propozycja zbadania zawartości metali w owych pociskach. Tylko że czegoś takiego w ogóle w nich nie ma. Są to stuprocentowe syntetyki dielektryczne, diabli wiedzą jakie. Jak pan wie, planetoida może się przekształcać. Ta odrobina obwodów, jaką zawierają pociski, zbudowana jest z rur wypełnionych cieczą, cewek kapilarnych i takich tam rzeczy. Wydaje się, że istnieje tam jakiś rodzaj natychmiastowego przechodzenia ze stanu stałego do cieczy i z powrotem. Płynne przewodniki stają się znowu stałymi dielektrykami, kiedy tylko przekażą prąd, który mają przekazać, i odbywa się to w ciągu mikrosekund.

- Niewykrywalne przez radar - podsumował posępnie England.

- Praktycznie biorąc - zgodził się z nim kapitan. - To chyba byłoby wszystko, panowie.

- Niech mi pan powie jedno - wyrwało mi się, zanim zdołałem się ugryźć w język.

- Co właściwie do licha tu robimy?

- Dokładnie to, po co tu przybyliście. - Kapitan zebrał swoje teczki. - Blum, zdaje mi się, że ci czterej dżentelmeni byliby chyba szczęśliwsi bez audytorium, nawet bez nas. - Chodź, Wirginio.

Kapitan ruszył przodem, Blum i dezetka za nim. My zaś pozostaliśmy na swoich miejscach. Po chwili milczenie przerwał England.

- Dlaczego mi nie zdradził, że wie o tych pociskach?

- A pytałeś go? - rzucił Potter.

To samo pytanie i odpowiedź sformułowałem pod swoim adresem - Co miał na myśli mówiąc, że jesteśmy tu, żeby zrobić to, po co przybyliśmy? - zagadnąłem.

- Może chciał nas zorientować, i tyle - podsunął nieśmiało Donato. - Takie teoretyczne przygotowanie, wiecie. Jak prace w terenie.

- Jeśli on sobie wyobraża, że w ten sposób obudzi we mnie inspirację, to dureń z niego - skonstatował posepnie England. Otarł zażawione oczy wierzchem dłoni, ale nadal pozostały wilgotne. - Wstrząs to ja odczułem, święta prawda, ale inspiracji żadnej.

- Powinien był powiedzieć nam o tym wcześniej, zaraz na początku. Być może do tej pory mielibyśmy już całkiem nowe obliczenia. - Donato zauważył mój karcący wzrok i natychmiast dodał: - Mam na myśli teorie, przyjacielu. Nie zamierzałem mówić o obliczeniach.

Niewiele jakoś to pomogło.

- Wynoś się stąd, Donato! - rzekłem.

- Oczywiście, przyjacielu, oczywiście - odparł i wyszedł, jak zwykle z uśmiechem. Udał się do swojej kajuty i zamknął drzwi. Słyszeliśmy jego kaszel.

- Zupełnie jak to pudełko - mrucał przez nos Potter - które przez dziesięć lat trzymasz u siebie, a tu nagle, ni stąd, ni zowąd, hop! i wyskakuje z niego diabełek.

Już chciałem go spytać, o czym mówi, kiedy zdałem sobie sprawę, że o kapitanie.

Wiedziałem, do czego zmierza. Dlaczego on nie zwołał tego zebrania kilka tygodni wcześniej?

- Lubi chyba, żeby sprawy wydawały się beznadziejne - podsumowałem. - Idę do łóżka.

- Ja też - oznajmił Potter.

Wstałem. Potter i England zostali na swoich miejscach. Zamierzali mnie obgadywać. Nie obchodziło mnie to ani trochę.

Śniło mi się, że idę łąką wdychając słodką, świeżą woń przebiśniegów, a tu nagle przebiśniegi stają się coraz większe albo ja maleję z każdą chwilą, i widzę, że zamiast na łądkach rosną na ciągu równań. Zaczynam je odczytywać a one natychmiast skracają się i płaczą, i chwytają moich stóp. Padam, mruczę coś, łapię się kurczowo za krawędź i budzę się całkowicie.

Odwrociłem się i spojrzałem w górę. Umysł miałem jasny, lecz byłem jak w letargu. Wydawało mi się, że wciąż jeszcze czuję woń przebiśniegów. Potem zwróciłem uwagę na jakieś skomlenie, dochodzące z daleka, za to uporczywe.

Światła wyglądały zabawnie. Jakby trochę drżały, ale kiedy się popatrzyło prosto na nie, były nieruchome. Nie podobało mi się to, bo przyprawiało o zawrót głowy.

Wstałem i wyszedłem na korytarz. Nikogo tam nie było. Po chwili usłyszałem za sobą nieśmiały głos.

- Masz pan tam u siebie Wirginię?

Drgnąłem i odwróciłem się. Nils Blum przylgnął do grodzi.

- Myślisz, że już tak ze mną źle? - zapytałem go z dezaprobatą, ale kiedy się odwróciłem, i tak zajrzał do mojej kajuty.

Poszedłem do mesy, włączyłem maszynkę do kawy i gdy się zaparzyła, nalałem sobie. Gdzieś z tyłu usłyszałem rozmarzone wzdychania, a potem zdumiony głos Pottera.

- Tutaj? Nie mówili ci, bracie? Ja lubię dziewczyny.

Po chwili Potter przyczłapał do mesy i sięgnął po kawę.

- Która godzina, Palmer?

Wzruszyłem ramionami. Spojrzałem na zegar, ale wydało mi się, że to, co widzę, nie ma sensu.

- Boże - jęknął Potter i pociągnął głośno nosem. - Czuję się jak połamany.

Dzwoni mi w uszach. W oczach mi się ćmi.

Popatrzyłem na niego z zainteresowaniem, zastanawiając się, jak to jest, kiedy się tak łatwo odnosi wszystko do własnej osoby.

- Nie tylko tobie ćmi się w oczach, nam wszystkim też. To samo dotyczy dzwonienia w uszach, jakkolwiek ja bym to określił raczej jako skowyt.

Ulżyło mu wyraźnie.

- Aha, ty też to słyszysz. Ale co się właściwie stało?

Wypiłem łyk kawy i spojrzałem znów na zegar.

- Co się dzieje z tym zegarem? - zapytałem.

Potter wyciągnął szyję, żeby spojrzeć.

- Niemożliwe, niemożliwe.

Zjawił się Donato, twarz miał ogoloną i jaśniejącą.

- Dzień dobry, Palmer, dzień dobry, Potter. Zastanawiałem się, który z nas upadnie pierwszy, i sądzę, że teraz już wiem. Kto by to pomyślał! - Skinął do tyłu i zaczął kasłać.

Popatrzyliśmy w tamtym kierunku. Przed drzwiami kajuty Englanda przestępował z nogi na nogę Blum.

- Nie powinienes wtrącać się w cudze sprawy, Don.

- Och, oczywiście - rzekł zgodliwie Donato. - Przypuszczam, że w tym wypadku masz rację.

W tym momencie England otworzył drzwi na oścież, zobaczył kulącego się tam Nilsa Bluma i odskoczył do tyłu, wydając z siebie dziwny wysoki pisk. Natychmiast jednak potem warknął najgłębszym basem:

- Nie płacz się koło mnie, Blum! I minął pomagiera nie oglądając się za siebie.

Obserwowaliśmy, co się dzieje za jego plecami, kiedy się do nas zbliżał. Blum wetknął głowę do kajuty Englanda, cofnął się, zrobił krok w naszą stronę i przystanął, poruszając szczęką w milczeniu, z wielką głową przekrzywioną nieco na bok.

- Ależ jestem głodny - oznajmił England. - Która to godzina?

- Zegar wysiadł. - Potter roześmiał się nagle. Wszyscy spojrzeliśmy na niego. - No a on - wskazał na Englanda - u niego też jej nie było.

- Dopiero co powiedziałaś Donowi, że nie powinien się wtrącać w cudze sprawy - rzuciłem. Ciekaw jestem, pomyślałem, czy on wie, że chcę mu dopiec, bo miętosi ten swój nos?

- Jakie sprawy? O co chodzi? - nagabywał England.

- Do ciężkiej cholery - powiedział sam do siebie Donato. Obejrzał się na stojącą w tyle postać i spojrzął do przodu na zamknięte drzwi kabin i sterowni. - O to, o czym wiesz.

- To zadziwiający facet - skonstatowałem.

- Kto? Kto taki? Kapitan? Co on znowu zrobił? - nalegał England.

- Zdaje się, że Wirginia zginęła - odparł Donato.

Słyszając jej imię Blum zrobił trzy kroki w naszym kierunku, po czym zatrzymał się przy drzwiach do mesy i patrzył bojaźliwie na każdego z nas po kolei.

- No tak - rzekł England - Ranga daje pewne przywileje.

Potter świsnął przez nos, wyrażając w ten sposób podziw, i zamykając całą sprawę Spojrzął na zegar.

- Mówiłeś, że coś w nim wysiadło, ale co?

- Nic nie wysiadło.

Odwróciliśmy się i stanęliśmy przed obliczem kapitana. Wyglądał dziwnie, dolną część twarzy miał jakby stężałą, jakiś twardy wyraz w oczach, którego przedtem nigdy nie miewał. Zresztą może i miał dziś rano przy stole "Czy to było rzeczywiście dziś rano" To, co wskazywał zegar, nie miało sensu) Popatrzyłem na kapitana i za niego przez otwarte drzwi do jego kabiny, z

porządnie zasłaną koją z boku, dalej na konsolę sterowniczą i kopułkę obserwacyjną. W kabinie nikogo nie było. Od strony drugiego wejścia Blum szepnął.

- Panie kapitanie - Coś się dzieje ze światłami, kapitanie - odezwał się Donato.

- Wszystko jest w porządku - odparł krótko kapitan. Podeszedł do monitora w mesie, włączył go, nastawił na prawą burtę i cofnął się. Zgromadziliśmy się wokół monitora. Wszyscy widzieliśmy z grubsza to samo - szeroką wstęgę klejnotów rozpostartą na niebie, a następnie monotonną czerń.

- Pokażę wam coś - zapowiedział kapitan. Pokręcił gałką i gwiazdy podjechały ku nam Osiągnąwszy maksymalne powiększenie. wyregulował ostrość i ustawił obraz idealnie na krzyżu nitek.

- Wiecie, co to takiego?

Była to kula, błyszcząca i złocista. Nie dało się określić jej wielkości.

Usłyszałem, że England głośno wciąga powietrze.

- Widziałem to już kiedyś Na fotografiach. To sterownia Zapory; planetoida.

- Tak blisko? - spytałem.

- Zapora jest sferą, dlatego wszyscy przypuszczają, że jej sterownia musi znajdować się w samym centrum - odparł kapitan - Tymczasem wcale nie. Znajduje się właśnie tutaj, na krawędzi i święty Boże nie pomoże temu, co dostanie się tu próbując przemknąć do centrum.

- Panie kapitanie - rozległ się znowu szept.

- Teraz popatrzcie - zapowiedział kapitan poruszając znowu gałką. Złocista kula zaczęła się oddalać, aż niemal zniknęła. Nagle ekran wypełniło coś tępo zakończonego, opływowego.

- Ładownik, ładownik statku - orzekł England. Kapitan cofnął się o krok i obserwował ładownik błyszczącymi oczami. Dłonie miał zaciśnięte mocno i wyczuwało się, że tłumi w sobie wielkie podniecenie, któremu chciałby dać upust.

Patrzyliśmy to na niego, to na ładownik.

- Dalej, no dalej - szepnął kapitan.

- Panie kapitanie.

- Zamknij się, Blum.

- Ten ładownik znajduje się w obrębie Zapory - krzyknął ktoś. Myślę, że ja - Patrzcie!

Patrzcie tam!

Wyglądało to jak drut do dziergania zrobiony z kości słoniowej. Obracało się powoli. Zbliżało się z wolna do ładownika, przesunęło się nad nimi i zniknęło z ekranu.

- Pocisk, i to wielki.

- Mój Boże, co się stało? - wykrzyknął Donato.



- Zapora przestała działać. - odparł kapitan, jakby już dłużej nie mógł się powstrzymać od wypowiedzenia tych słów - Przestała działać, widzicie? Nie działa już i wszystkie pociski są nieszkodliwe.

- Proszę pana, och, panie kapitanie Nie mogę znaleźć Wirginii Gdzie jest Wirginia, kapitanie?

- Patrzysz na nią, Blum Patrzysz właśnie dokładnie na nią - rzekł kapitan ze wzrokiem utkwionym w ekran.

Coś nas uderzyło, rozepchnęło Na chwilę mesę wypełniły pomruki i dzikie wrzaski, a potem Blum odepchnął nas i stanął przed monitorem, opierając ręce po obu jego stronach. Nagle wydał mi się wyższy o pół głowy, a na jego owłosionym ramieniu, kiedy przesunęło się blisko mnie, dojrzałem sznury, których przedtem nie widziałem. Głowa Bluma przypominała lwią głowę.

- Co pan zrobił? Co pan zrobił? - warknął nagle w stronę kapitana, który spoglądał ponad jego ramieniem na ekran i śmiał się cicho. Blum odskoczył od monitora, odwrócił się i z taką miną, jakby gotów był rozszarpać przeciwnika, stanął przed kapitanem i spytał znowu.

- Coś pan zrobił? Coś pan zrobił z Wirginią?

Kapitan przestał się śmiać i z wyrazem twarzy właściwym kapitanowi zwracającemu się do pomagiera odparł:

- Wydałem jej odpowiednie polecenie, wsadziłem do ładownika i wysłałem w drogę Pan szanowny ma jakieś obiekcje?

Blumowi oczy zaczęły wychodzić na wierzch - ; naprawdę widać było, jak wyłążą mu z orbit. Otworzył wolno, wolniutko, usta, ślina pojawiła mu się w kąciku ust i ściekła po brodzie, uniósł w górę ręce, z palcami niby szpony na pół chwytnymi.

Nozdrza mu drżały. Potem wrzasnął tak przeraźliwie i tak blisko nas, Że dało to taki efekt, jak błysk oślepiający. Odskoczyliśmy do tyłu przed tym wrzaskiem, machając rękami Następnie Blum ruszył, przygarbiony, wypatrując czegoś, jakby biegł nie wiedząc dokąd Pognał jak szalony do włazu śluzy powietrznej i za czał okładać go pięściami, następnie odwrócił się do niego plecami i wrzasnął znowu:

- Wyślij mnie pan, słyszysz! Wyślij mnie z Wirginią, słyszysz mnie, panie kapitanie!

Podszedł do niego Donato i w pełnej napięcia ciszy, uśmiechając się, powiedział najgłupszą rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem:

- No, opanuj się, bądźmy wszyscy kumplami.

Blum wrzasnął ponownie, więc Donato nie tracąc czasu na odwracanie się wziął nogi za pas. Biegając tyłem wpadł na mnie i byłby upadł, gdybym go nie chwycił.

- Panie kapitanie - powiedział i uniósł głowę, jako że zwisał mi z rąk - on nie ma nic przeciwko mnie.

- Marsz do swojej kajuty, Blum - rozkazał kapitan głosem wydobywającym się jakby z głębi piersi.

- Sprowadź ją pan z powrotem albo wyślij mnie razem z nią - nalegał śliniąc się Blum - Słyszysz mnie pan?

- Marsz do swojej kajuty Blum!

uniósł pięści. Zaczął iść ku kapitanowi, jakby coś żując, oczy miał dzikie.

Kapitan trochę się pochylił, odstawił nieco ręce na boki i ruszył bardzo wolno w kierunku Bluma. My wszyscy usunęliśmy się z drogi.

- No więc. Słyszysz mnie pan? - spytał Blum bardzo cicho i skoczył. Kapitan uchylił się i walnął go. Myślałem, że w głowę, ale England powiedział mi później, że w bok szyi, blisko karku. Blum znajdował się w powietrzu, gdy kapitan mu przyfasował, runął więc od razu twarzą na podłogę, nie wyciągnąwszy nawet przed siebie ręk, żeby się ratować przed upadkiem, i teraz leżał bez ruchu. Popatrzyliśmy wszyscy na niego, a potem na siebie.

- Zabrać go do jego kajuty. - polecił kapitan. Jego głos mnie przestraszył, bo dochodził nie stąd, gdzie myślałem, że się kapitan znajduje - przy rozciągniętym na ziemi Blumie. On tymczasem zdążył już przejść na drugą stronę mesy i wpatrywał się w ekran. Jego zdaniem sprawa była zakończona, pewno już nawet serce nie biło mu szybciej. Wrócił do pracy, do swojego zadania. Nam zaś serca tłukły się gdzieś w gardle i nie wiedzieliśmy, co robić.

- No, prędzej Wynieś go stąd, Palmer. Ty jesteś największy.

O mało nie bryzgnąłem śliną, ale udało mi się opanować. Powiedziałem tylko:

- Posłuchaj pan, kapitanie, ja nie muszę...

Kapitan przemówił do mnie z głębi trzewi, jak przedtem. Przekonałem się, że znacznie mniej przyjemnie jest być adresatem słów wypowiedzianych przez kapitana takim głosem niż obserwatorem, kiedy burę dostaje ktoś inny.

- To ty posłuchaj, owszem musisz - odparł kapitan - Cokolwiek polecę musisz wykonać, i nie tylko ty Palmer, ale cała wasza czwórka pajaców. Koniec zabawy, od teraz będziecie mnie słuchać i myśleć najpierw o tym, czego ja chcę. Zawsze.

Czy to jest jasne, panie szanowny?

- Więc ja... - zacząłem głośno, ale kapitan oderwał wzrok od ekranu i popatrzył na mnie niemal jak Blum, jakby chciał mnie rozszarpać. Chwyliłem więc Bluma za rękę i odciągnąłem do jego kajuty. Przypominała całkiem nasze, tylko że u niego nie walało się tyle rzeczy, a w każdym razie wszystko było poukładane w kostkę.

Zwaliłem go na kolę i zamknąłem drzwi, ponieważ to było jedyne miejsce gdzie mogłem się oprzeć. Oparłem się więc i próbowałem złapać oddech. Blum zaczął charczeć. Spojrzałem na niego. Głowę miał przekreconą na bok, wtłoczoną w poduszkę, oczy otwarte.

- Przestań! - Charczał w dalszym ciągu. - Przestań wydawać ten odgłos, słyszysz?

Słyszysz, co mówię, panie szanowny?

To "panie szanowny" zabrzmiało zupełnie inaczej niż w ustach kapitana. Zrobiło mi się głupio. Oczy Bluma pozostały otwarte, a ja zdałem sobie sprawę, że on nie mruga, nie widzi. Nie mogłem znieść tego charczenia, naprostowałem mu więc w końcu głowę i podłożyłem poduszkę. Od razu przestał charczeć. Zamknął oczy.

Wciąż jeszcze nie mogłem złapać powietrza. Miał krew na twarzy - może dlatego Nie otworzył oczu, ale zaczął szeptać, bardzo szybko i bardzo cicho, Zupełnie jakbym stał zbyt daleko od kogoś, żeby zrozumieć, co mówi, a potem się przybliżał.

- Chodziło tylko o to, żeby się poddała, ale ona tego nie potrafiła, nie potrafiła przestać walczyć i uwierzyć. Jakby miała umrzeć, gdyby w coś uwierzyła. Chciała uwierzyć. Chciała nade wszystko Ale to było tak, jakby jej ktoś powiedział umrzesz, jeśli w coś uwierzysz.

Nagle otworzył oczy, zobaczył mnie i zamknął je znowu.

- Palmer, pan sam to widział wtedy, gdy płakała Przez cały czas, przez te wszystkie tygodnie, te szare, spokojne oczy kryły to, co czuła, a ja ją błagałem "Wirginio, och, Wirginio, nie dbam o to, co o mnie myślisz. Nie będę chciał, żebyś mnie pokochała, Wirginio Tylko uwierz mi, możesz być tak kochana, warta jesteś miłości, ja cię kocham. Naprawdę kocham, Wirginio Tylko uwierz ten jeden jedyny raz, bo to prawda, a potem będziesz już mogła uwierzyć w inne rzeczy, najpierw w małe, ja ci w tym dopomogę, ja ci zawsze mówię prawdę". Powiedziałem "Nie kochaj mnie, Wirginio, nie myśl wcale o tym. Nie wiedziałbym, co z tym zrobić, gdybyś ofiarowała mi coś takiego". Mówiłem "Chcę tylko, żebyś mi zaufała, tak żebyś mogła mnie spytać, co jest prawdą, a ja bym ci powiedział, Ale wierz mi, że cię kocham, niewiele znaczą Wirginio, więc sądzę, że na początek to nie za wiele. Uwierz, że cię kocham, Wirginio, uwierzysz?". A ona...

Leżał z otwartymi oczami dłuższą chwilę i już myślałem, że znowu straci przytomność, ale potem zamrugał i podjął swą opowieść.

- zapłakała, całkiem nagle i nieoczekiwanie, potem przestała i powiada:

"Rozdzierasz mi serce, nie widzisz? Chcę ci wierzyć. Pragnę ci wierzyć, bardziej niż czegokolwiek innego na świecie, Ale nie potrafię, nie wiem jak, nie oczekuje się tego ode mnie, nie wolno mi". Tyle mi powiedziała, Potem płakała znowu i dodała jeszcze: "Ale ja chcę ci wierzyć. Nawet nie wiesz, jak bardzo chcę w to wierzyć. Tylko nic nie jest takie, na jakie wygląda, nic nie jest tym, czym ma być, nikt naprawdę nie chce tego, czego, jak mówi, chce. Nie mogę uwierzyć ani

im ani tobie”. Powiedziała: “Przypuśćmy, że ci uwierzę, a potem nadejdzie dzień, kiedy wszystko będzie jasne i oni pozwolą mi wszystko zrozumieć i przypuśćmy, że przekonam się wtedy, że wszystko jest inaczej niż mówiłeś, odkryję może, że wcale cię nie było, co wtedy” Nie zniosłabym tego. Nie ośmielałam się ci wierzyć, ponieważ chcę tego. Jeśli nie będę wierzyć niczemu, w nic i w nikogo, to jeśli się okaże, że to wszystko prawda, od tej pory zacznę wierzyć i będę szczęśliwa nie tracąc nic”. I płakała jeszcze, a potem pan, panie Palmer, wszedł i w sekundę zamknęła się za tymi swoimi szarymi oczami bez wyrazu. A więc nie uwierzyła mi, i to wszystko właśnie dlatego.

Nie mogłem złapać tchu. Blum też nie. Ja opierałem się o drzwi, on leżał na swojej koi i obaj ciężko dyszeliliśmy.

- Z pewną różnicą. - szepnął podążając za jakąś myślą. - Ona potrafi sprawić, że się zwątpi we wszystko, co się mówi. Powiedziałem jej, że moja matka potrafi gotować A ona na to: “Twoja matka potrafi gotować...” , w ten SWÓJ beznamiętny sposób, i wiesz pan, zacząłem się zastanawiać, czy moja matka rzeczywiście potrafi gotować. Właśnie to miałem na myśli Ale ja jej powiedziałem: “Wirginio, ty wiesz, że ja cię kocham”, a ona na to: “Ty mnie kochasz”, w ten sposób, zupełnie jakby mówiła kto słyszał coś podobnego? Właściwie to chciałem powiedzieć że nie dotknęło mnie zachowanie Wirginii po tym, jak jej powiedziałem “kocham cię”. Kierowałem się tym, co czuję, a czułem to samo, niezależnie od tego, co mówiła, więc była jednak pewna różnica. Czyli że miałem prawo powiedzieć: “Wierz mi, uwierz w to”. Wiem, że sprawy mogą się zmienić. Wiem, że niemal wszystko, co jej mówiłem, mogło być w jakiś sposób nieprawdziwe, Ale nie to. Jeśli chodzi o to, , mogła mi zaufać. A ona chciała zaufać. Przynajmniej tyle osiągnąłem.

Oparłem się o drzwi, byłem zakłopotany, potem udało mi się to zakłopotanie zamienić w gniew.

- Ty głupolu. - warknąłem - Jesteś członkiem załogi, a ona dezetką. Nie miała prawa ci odmówić. Dlaczego po prostu nie robiłeś swego? Po to przecież ona jest na pokładzie.

Ale to go nie rozzłościło. Spojrzał w sufit i rzekł cicho:

- Aha, ona też to mówiła. Powiedziała: “Sam nie wiesz, czego chcesz”. I powiedziała: “O to ci chodzi, Więc rób swoje, tylko przestań o tym gadać”. Ja powiedziałem, nie Powiedziałem, że nadejdzie może czas jeszcze o tym nie myślałem, najpierw chciałem czegoś innego, chciałem, żeby mi wierzyła.

Powiedziała, że jestem stuknięty i żebym się wobec tego trzymał od niej z daleka, a potem widział pan. Potem oświadczyła, że chce mi wierzyć, że chce tego bardziej niż cegokolwiek na świecie.

Uspokoił się wreszcie, oddychał bez trudu, rozmyślając o czymś z uśmiechem na ustach. Zagadnąłem go, ale mi nie odpowiedział. Przypuszczałem, że zasnął. Cicho otworzyłem drzwi i

zamknąłem je za sobą. Następnie wróciłem do mesy. Byli tam wszyscy, przy monitorze, i patrzyli na ekran.

- Śpi teraz, ale urządzi nam niezłe piekło, jak się obudzi i naprawdę zrozumie, że jej tu nie ma.

Kapitan oderwał wzrok od ekranu, spojrzał na mnie, a potem wrócił znowu do obserwacji. Nie splunął na podłogę mesy, ale sądząc z wyrazu twarzy, równie dobrze mógł to zrobić. Blum go absolutnie nie obchodził.

- Co się dzieje? - spytałem Pottera.

- Nie wiem, czy się cieszyć, czy wściekać Palmer, spec z ciebie, a jesteś pajacem I England Donato Ja też. Prawdziwy spec to Wirginia. To ze względu na nią urządzono całą tę wyprawę Jak jeszcze daleko? - wykrzyknął.

- Kilka metrów - odparł zaabsorbowany Donato.

Spojrzałem na ekran. Ładownik statku, ten jego długi sztuczny kuper, który wlekleliśmy za sobą przez całą drogę z Ziemijskich Światów, zbliżał się ku złocistej kuli. Owa kula, jak mogłem się teraz przekonać, była wielka niczym statek gigant, jeśli założymy, że statek dałoby się zwinąć w kulę. Wielkością dorównywała niektórym księżycom. Dokoła unosiło się całe mnóstwo białych patyczków.

- Unieszkodliwione pociski, widzisz? - rzekł Potter obserwując ekran - Wszystkie unieszkodliwione. Na przestrzeni tysiąca kilometrów wszystkie siłownie rhigonuklearne i materiały wybuchowe zostały unieszkodliwione. A może nawet dalej. Nasza też.

- Nasza?

- To huczenie, to migotanie. Nie korzystamy teraz z siłowni rhigonuklearnej, Palmer. Włączyliśmy turbinę parową, woda przegrzewana jest przez paraboliczne zwierciadło z tamtego dalszego słońca.

- Czy turbina parowa umożliwi nam powrót do domu?

- Głupi! - wtrącił się Donato. To było niesamowite Wszyscy mówili szeptem, Jakby głośniejszy dźwięk mógł zepsuć coś w monitorze. Nikt nie patrzył na swojego rozmówcę, tylko obserwował wciąż ekran, niektórzy przekrzywiali usta w jedną stronę mówiąc do kogoś, a w drugą zwracając się do innej osoby. - Mała turbina nie uciągnie tego pudła nawet na połowę odległości.

- Wszystko gra - odezwał się England.

- Co ona robi?

- Zbliży się tam, żeby się przyssać do planetoidy. Ma tam katalizator, który wykruszy otwór w panczerze, ponieważ sama bomba ledwie by go drasnęła. Dopiero potem, kiedy powłoka będzie wystarczająco cienka, Wirginia umieści tam bombę.

Jak wybuchnie, Zapora przestanie istnieć.

- On mówił, że Zapora już nie działa.

- Na pewno. Ona ją unieszkodliwiła, unieruchomiła. Jeśli Wirginia puści, to klops. Zapora znowu zacznie działać i wszystkie pociski ożyją.

- Co to za unieszkodliwienie czy unieruchomienie, o jakim puszczeniu mówicie, o co chodzi? - zacząłem się już niecierpliwić. Kapitan uznał za stosowne coś powiedzieć:

- Nazywamy to polem W, bo - milczał dość długo - bo wtedy brzmi to jak coś, co znamy, co możemy znać.

Obrzucił nas szybkim spojrzeniem, jakby ktoś zamierzał się roześmiać. Nikt nie zamierzał - A co to jest? - kontynuował kapitan, wyraźnie nie mając ochoty tego mówić. - Jest to wątpliwość. Pole wątpliwości. Mam na myśli no... wątpliwość, to wszystko.

Nikt się nie odezwał. Wątpliwość, w porządku Ale wątpliwość staje się niewidzialna, zwłaszcza gdy kapitan ucieka się do głośnych kapitańskich pokrzykiwań, jak to zrobił on. Przypuszczam, że o tym wiedział. To już nie nasz interes, zupełnie nie nasz, lecz on nie chciał budzić wątpliwości, nawet w nas specach, w nas pajacach.

- Co zrobiliśmy? Odkryliśmy, że Wirginia próbowała popełnić samobójstwo. - powiedział. Naturalnie ciążyło jej brzemień wątpliwości. Nie chciała już dłużej żyć, bo nie miała w co wierzyć. Albo w ogóle nie miała wiary. Więc poddaliśmy ją pewnym zabiegom. Jestem kapitanem, nie znam szczegółów. w każdym razie po tych zabiegach Wirginia nie zmieniła się, żywiła jeszcze większe wątpliwości, o wiele większe. Każdy z was odczuł to na sobie, nie zaprzeczycie. Ona potrafi w człowieku wzbudzić wątpliwości co do własnego nazwiska.

- Taak - przyznałem i dopiero jak to usłyszałem, stwierdziłem, że odezwałem się na głos. Kapitan Steev obserwował przez chwilę ekran, po czym rzucił półgłosem:

- Dobrze, grzeczna dziewczynka. - A potem zwrócił się do nas:

- To było niebezpieczne zadanie. Załóżmy, że skoncentrowana niewiara mogłaby mieć, dajmy na to, taki efekt, jeśli się chce, żeby ktoś za pomocą tej umiejętności unieruchomił z dużej odległości potężną siłownię, to jak przewieźć tego kogoś statkiem napędzanym w taki sam sposób?

- Gdyby chodziło o maszynę - odezwał się England - zmontowałbym ją dopiero przed samym użyciem.

- Tak postąpiono z pierwszymi bombami atomowymi - wtrącił znający się na rzeczy Donato - Nie składali ich do chwili, kiedy miały wybuchnąć. Detonowano je przez zmontowanie. Ale tego nie da się zrobić z człowiekiem, no - Rozumiecie, w czym problem. Nie można nie wierzyć w coś, dopóki się nie wie, co to jest, albo przynajmniej, co ludzie myślą, że to jest. Nie mogę ani wierzyć, ani nie wierzyć, że piup to tyle co matka chrzestna w języku Marsjan. Po prostu nie wiem tego. A

więc Wirginia nie miała pojęcia o siłowni rhigonuklearnej, chociaż przysięgam, nasza się zakrztusiła raz czy dwa. Wirginia ma pod tym względem wielkie możliwości.

England wtrącił z nagłą niecierpliwością:

- Proszę mi wybaczyć, kapitanie, lecz mogę tu stać i rozmawiać o tym tylko dlatego, że widzę, iż to funkcjonuje.

- Wobec tego powiem wam. Siłownia rhigonuklearna to pomysł Luanan. Naprawdę niezwykle prosty. Każdy go zrozumie, jak już mu się wyjaśni. Wszystko zostało przygotowane, zanim wyruszyliśmy tutaj, łącznie z wami, czwórką pomyleńców, specjalistów, którzy wiedzą więcej niż ludzie tkwiący w tym przez całe życie.

Jeśli zaś chodzi o nią, byliście ekspertami tylko do momentu, gdy was ustawiłem sobie i załatwiłem; silnia, sigma i pole magnetyczne o powierzchni centymetra kwadratowego, ha! Miała wątpliwości, czy jesteście specami, jak tylko was ujrzała, no bo powątpiewa we wszystko. Kiedy zobaczyła, co z wami zrobiłem, pomyślała, że wątpiła słusznie. Osiągnęła, że tak powiem, szczyt niewiary. Mój Boże, nie odczuliście tego? Patrzcie, przyssała się już. Teraz katalizator zacznie oddziaływać na pancierz. Nie potrwa to długo .

Wciąż jednak nie rozumiem, w jaki sposób zwykła niewiara może unieruchomić siłownię - oponowałem.

- Nie siłownię. Jedynie siłownię rhigonuklearną. Pozwólcie mi mówić, to zrozumiecie. Wpuściłem trochę gazu usypiającego do waszych wentylatorów i pozbyłem się was wszystkich. Potem...

- Przebiśniewi - wtrąciłem, przypominając sobie.

- Potem wsadziłem ją do ładownika i kazałem ruszać w drogę, to wszystko. Prócz tego, że uzbroiłem ją tak jak się uzbraja bombę, kapujecie? Powiedziałem jej, co to jest siłownia rhigonuklearna. Ani ją to grzało, ani ziębiło, ale słuchała, kiedy tłumaczyłem jej wszystko po kolei. Następnie dałem jej arkusik papieru i powiedziałem, że jest tam opisane, co się stanie. Kazałem Wirginii przeczytać to, jak tylko zapali się czerwone światełko na pulpicie, to znaczy wtedy, gdy znajdzie się z dala od statku.

- Co przeczytać? - spytał ktoś, gdy się zrobiło zbyt cicho. Było to długie oczekiwanie, kiedy tak obserwowaliśmy ładownik przyssany do planetoidy i nie działo się nic, tylko wokół unosiły się białe patyczki, kawałki skał, resztki tego, co planetoida przyciągała i nie zdołała pochłoniąć.

- Co przeczytać? - powtórzył wreszcie pytanie kapitan. - Po prostu formułę syntezy rhigonuklearnej. Zapisaną najprostszymi słowami. Kiedy wodór 1 i wodór 2 znajdują się w obecności mezonów mu, łączą się w hel 3 z energią wyrażoną w elektronowoltach jako  $5,4 \times 10^8$ . To było napisane na tym arkuszu papieru. Ona знаła osobno poszczególne składniki, wiedziała, co

to są mezony mu i hel 3 i co oznacza tak duża liczba elektronowoltów. Zakotowała to sobie w pamięci, zanim opuściliśmy Ziemskie Światy. Nie miała jednak okazji zestawienia tego razem, i tyle. A teraz pojawia się ja i powiadam, na papierku naturalnie: „, , Ten mechanizm działa dokładnie tak i tak”. Ona jednak nie może w to uwierzyć. Nie ma to żadnego znaczenia w przypadku turbiny czy świdra mechanicznego, ale w grę wchodzi cząstki elementarne, całe chmary cząstek biorących udział w katalizie, na dłuższą metę nieczułych, lecz jak sobie wyobrażam, całkiem nerwowych... i potraktujesz je tym, czym ona dysponuje cokolwiek to jest... - Nagle zniecierpliwiony warknął: - Ale kogo ja próbuję przekonać? Działa, widzicie?

- Zejdź z mojej stopy, Blum - powiedziałem i dalej patrzyłem na ekran. Nie sądzę, żeby ktoś więcej go zauważył. Ja sam ledwie zwróciłem na niego uwagę.

- Hej - odezwał się nagle Donato. - Nasze generatory przestały pracować, prawda?

Jak się stąd wydostaniemy?

- Kiedy bomba wybuchnie, zniknie pole w. Proste.

England warknął tak samo nagle:

- A co z tymi pociskami, kiedy nie będzie unieszkodliwiającej ich Wirginii?

Polecą we wszystkich...

- Zamknij się, błaznie - rozkazał kapitan. - I zachowaj swoje strachy dla siebie. Każdy z tych pocisków jest odpalany z jednego miejsca, i tylko z jednego, z planetoidy. Jak sobie wyobrażasz, że utrzymywano by je w obrębie Zapory i z dala od Luańskich Światów przez cały ten czas? Komu zależy na tym, żeby znowu stały się niebezpieczne? Nikt więcej nie zasiądzie na miejscu dyspozytora. A teraz bądź cicho! To wkrótce powinno wybuchnąć.

- Wybuchnąć, jak? Przecież znajduje się w samym środku tego no... pola tłumienia...

- Powiedziałem: bądź cicho! To nie jest bomba rhigonuklearna. to stara, poczciwa bomba termonuklearna, której jest całkiem wszystko jedno, w co kto wierzy.

- Co to jest? Co ma się stać? Co jest tam? Gdzie?...

- Wracaj do łóżka, Blum - powiedziałem kątem ust, obserwując wciąż ekran.

Chciałem, żeby to zabrzmiało uprzejmie - miał przecież zły okres - ale mi się nie udało. Przypuszczam, że nigdy nie przywyknę do rozmów z takimi jak Blum.

Wybuchło.

Och, mój Boże! Kapitan Steev się mylił. Gdzieś naciśnięto spust - w którymś ułamku sekundy tego piekła. Pociski zniknęły. Nie poleciały, nie ruszyły w pościg. Nie było też głowic.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim znowu coś zobaczyliśmy. Ekran monitora uległ zniszczeniu. Turbina huczała coraz ciszej, wreszcie umilkła. Światła przestały niepokojąco migotać.



- Musimy wyjść po Wirginię.

Było to pierwsze wypowiedziane zdanie. Ktoś się roześmiał. Ale nie był to wesoły śmiech. England rzekł ostrym tonem:

- Nie rób z siebie głupszego, niż jesteś, Blum. Nie widzisz, że znowu działa nasza siłownia rhigonuklearna?

- Dla niego to bez różnicy - zwróciłem uwagę Englandowi. - Nie było go tu podczas wyjaśnień kapitana.

- Kogo tu nie było? - warknął kapitan. - Do diabła, Blum, kto ci pozwolił opuścić kajutę? Jesteś uwięziony, rozumiesz? A pan, Palmer, czy nie można panu ufać...

- Zaczekać! - Tego wrzasku nie można było niemal wytrzymać, podobnie jak tego błysku.

Blum stał na środku mesy i znowu dostawał szału.

- Czekać, czekać, zaczekać! Muszę wiedzieć. Wy wszyscy wiecie. Ja nie. Co się stało?

- Daj spokój, Blum - powiedziałem szybko. Bałem się go, ale myślę, że bardziej bałem się kapitana. Miał taki wyraz twarzy, jakiego więcej wolałbym nie oglądać.

Kapitan przysunął się do Bluma i rzekł:

- Chcesz wiedzieć, no dobrze, niech ci będzie, choć ja nie widzę powodu, dlaczego miałbym tracić czas albo litować się nad jakimś cholernym pomagierem.

Ta bomba zdmuchnęła planetoidę i Zaporę, co stanowiło cel naszej wyprawy, zdmuchnęła też twoją Wirginię, bo po to właśnie została wysłana. Jesteś zadowolony?

- Po co ją zabijać? - wyszeptał Blum.

- A może znasz przypadkiem jakiś sposób uruchomienia naszej siłowni, co? - warknął kapitan.

- Ona nie wierzyła, że siłownia może działać, Blum. Więc nie mogłaby działać - próbowałem mu tłumaczyć.

- Mogłem ją przekonać, żeby uwierzyła. Mogłem. Mogłem.

Spojrzelśmy na niego, na jego wielką przechyloną w bok głowę, drżące nozdrza.

Nie wpadnie jednak ostatecznie w szal, wpadnie w coś innego. Co mnie przeraziło znacznie bardziej, niż gdyby wpadł w szal.

- To pan sprawił, że ona w nic nie wierzyła, prawda? - spytał.

- Miała dobre zadatki - odparł kapitan i odwrócił się plecami. - Chodź pan, Potter. I pan, Donato. Jesteście teraz załogą, czy wam się to podoba, czy nie.

Do licha, sprowadźmy to pudło do domu. Mamy nowiny dla ludzi.

- Nigdy nie przypuszczałem, że ludzkie istoty mogą być takie - oznajmił bardzo spokojnie Blum. - Nigdy bym w coś takiego nie uwierzył.

- Wracaj do łóżka - poradziłem mu. I zanim zdołałem się powstrzymać, zacząłem go błagać:

- Proszę, proszę, Blum, zejdź mu z oczu.

Przez dłuższą chwilę patrzył na moją twarz. I nagle rzekł:

- Dobrze, panie Palmer.

A potem po prostu sobie poszedł. Poczułem się o wiele lepiej. Dobrze mieć świadomość, że się umie postępować z ludźmi.

- Do koi, panowie. Ruszamy w ciągu pięciu minut.

Kapitan udał się w stronę pulpitu sterowniczego.

- No, nie stać tutaj! - ryknął na resztę. - Do koi, panowie!

- Wiesz co, Palmer, masz bzika - rzucił pod moim adresem Donato. Po czym Wszyscy runęliśmy na koi.

Minęły cztery minuty. Pięć. Słyszałem huk maszynerii. Lampy pogasły. Huczenie przeszło w jęk, potem w skowyt. Światła przyćmiły się, następnie pojaśniały i zaczęły migotać na krawędziach. Nie sądziłem, żeby to była moja sprawa, więc leżałem i czekałem.

Wkrótce kapitan wrócił. Oparł się o drzwi mojej kajuty i patrzył na mnie.

- Coś ważnego? - Chciałem się dowiedzieć starając się, żeby to brzmiało inteligentnie.

- Zasilanie wysiadło, to wszystko.

- Och - powiedziałem. - A co nawaliło?

Westchnął przeciągle.

- Nic. Tylko nie działa.

- Myślę, że lepiej wstać - orzekłem.

- Dlaczego? - spytał i wyszedł.

Mimo wszystko wstałem i poszedłem zakomunikować o tym Donatowi, Potterowi i Englandowi. Nie ruszyli się z koi. Nie podobało im się, że kapitan jest spokojny, mówi przyciszonym głosem i nie brakuje mu argumentów.

- Wiesz, jeśli jemu się nie uda uruchomić statku, nie dostaniemy się donikąd.

Luananie nie mają pojazdów kosmicznych, a my nie zdołamy dotrzeć do żadnej z ich planet - powiedział do mnie England.

Wolałbym, żeby tego nie mówił.

Poszedłem do Bluma, żeby się czymś zająć. Oczy miał otwarte i niewidzące, mruzczał coś do siebie. Próbowałem się w to wsłuchać.

“...dziecinko, oni twierdzą, że masz takie same szansę jak każdy, wierz im.

, , Potrzymam torebkę, mówią, a ty wyjmij bilety. Nie martw się, będę tu, kiedy wrócisz”. I ty im wierzysz... “Mam znakomitą pracę dla ciebie, synu. Lekką pracę, duże napiwki...”

- Blum - rzekłem.

Spojrzał na mnie.

- Wiesz pan co, Palmer? Powiedziała, jeśli w ogóle w nic nie wierzysz, niczego nie stracisz, kiedy to wszystko wreszcie się wyjaśni. Teraz dla mnie wszystko się wyjaśniło. Wirginio. Jestem bezpieczny, Wirginio, nie wierząc. Nic ci wtedy nie mogę odebrać. Miałas świętą rację.

Mówił tak przez dłuższy czas. Wyniosłem się stamtąd i powędrowałem do przodu, odszukałem kapitana. Był w sterowni i przesuwiał w przód i w tył jakąś dźwignię, nawet na nią nie patrząc.

- Kapitanie - powiedziałem - to pole w, które miała dziewczyna... czy może ktoś sam w nie wpaść, to znaczy bez tych doktorów z Ziemijskich Światów itede?

- Jest pan pewien, że musisz pan przychodzić i zawracać mi głowę, Palmer? - spytał szeptem, nie spojrzawszy nawet na mnie.

Wycofałem się i odparłem:

- Myślę, że tak, bo Blum zafundował sobie to samo.

- Bzdura! Musiałby doznać naprawdę szoku, żeby ocknąć się w takim stanie. Nic mu nie jest. Zjeżdżaj pan.

- On mamrocze, jak to on w nic nie wierzy.

W końcu kapitan poszedł ze mną. Przez chwilę obserwował Bluma, potem skonstatował:

- Dobra, załatwimy to w ten sposób, że nie będzie wierzył, tak czy inaczej. - I trzasnął leżącego faceta w szczękę tak, że ten aż podskoczył i walnął głową w wewnętrzną grodz.

Słyszałem oddech Bluma i wciąż pracującą turbinę parową.

- Przypuszczam, że jak się jest nieprzytomnym, to nie ma znaczenia, w co się wierzy - zauważyłem.

- Powinien pan wiedzieć - rzekł kapitan. - W porządku, Palmer, weź go pan i idziemy.

- Dokąd?

- Zamknij się pan.

Wyszedł. Pomyślałem, że lepiej będzie, jak z nim pójde. Zarzuciłem sobie Bluma na ramię. Niemal upadłem pod jego ciężarem. Kapitan czekał na korytarzu. Zaczął iść, kiedy wychylnąłem z kajuty, więc podążyłem za nim. Zeszliśmy na dół, na poziom ładownika, i zbliżyliśmy się do służby powietrznej. Kapitan Steev zaczął otwierać wewnętrzny zamek wjazdu.

- Co pan zamierza zrobić? - spytałem.

- Zamknij się pan - odparł.

- Postanowił pan go zabić?

- Chcesz pan wrócić do domu?

- Nie wiem - rzekłem i zacząłem się nad tym zastanawiać.

Kapitan zatrzasnął drzwi wjazdu i wyprostował się.

- Czym się pan martwi, Palmer? - zapytał.

- Nie sądzę, żebym panu pozwolił to zrobić, kapitanie. Jest inny sposób. Nie musi pan zabijać tego biedaka.

- Wsadź go pan tam, Palmer.

Stałem z bezwładnym Blumem na ramieniu i wpatrywałem się w kapitana, a on we mnie. Nie wiem, jak się to mogło skończyć - właściwie wiem, tylko że się wstydzę powiedzieć - kiedy nagle rozległ się jakiś hałas i ktoś wychynął ze służby.

- No, akurat w porę - jęknęła Wirginia. - Zamknęliście wewnętrzny zamek i przeleżałam tam całą godzinę. Chyba zasnęłam. Kto to? Co się stało Nilsowi?

Kapitan wyglądał tak, jakby wysypano mu na twarz kubek mąki.

- Kto ci pozwolił wyjść z ładownika?

- Luananie - odparła ze spokojem. - W mojej głowie, jakoś tak. Było to zabawne.

Powiedzieli mi, jak włożyć kombinezon, wydostać butle z gazem, związać je ze sobą i korzystając z nich oddzielić się od ładownika i od tego czegoś wielkiego i złocistego. Znalazłam się daleko stamtąd i wtedy mi powiedzieli, żebym się schowała za potężnych rozmiarów odłam skalny szybujący w tamtej okolicy.

Nastąpił wielki błysk. Luananie powiedzieli, że mam wrócić potem, jak przestaną latać odłamki. Wówczas będzie to łatwiejsze. Wiedzieliście, że kombinezon jest wyposażony w silnik odrzutowy? Luananie powiedzieli mi, jak się nim posługiwać.

Puściłem w ruch swoją szczękę i spytałem:

- Skąd wiedziałas, że potrafisz go uruchomić?

- To taki silnik jak ten, z którym przylecieliśmy tutaj, prawda? Aż trudno uwierzyć własnym oczom.

Nareszcie ruszyło i kapitana. Rzuciłem Bluma na ziemię i zanim kapitan zdołał powiedzieć choćby słowo, pchnąłem go. Z pewnością dostał już w życiu niejednego cios, może i kopniaka, ale nie wierzę, żeby ktoś po prostu podszedł i pchnął go w pierś. Klapnął jak dziecko z rozstawionymi szeroko nogami, i spoglądał na mnie z dołu.

- Teraz ty zostaniesz tam i sam się zamkniesz - zapowiedziałem mu. - Zawsze postępujesz z ludźmi nie tak jak trzeba.

Wirginia klęczała przy Blumie.

- Co jest? Co mu się stało?

- Uderzył się po prostu - wyjaśniłem. - Przepraszam cię za moje pytanie, ale czy ty wierzysz, że on cię kocha?

- O tak! - odparła natychmiast.

- No to ja ci coś poradzę. Zostań tu z nim i pokołysz go trochę, póki nie otworzy oczu, słyszysz? Potem mu powiedz, że... powiedz, że mu wierzysz. To wszystko.

Kapitan pozbierał się z podłogi i wstał, po czym otworzył usta, żeby ryknąć. Ale to ja ryknąłem pierwszy. Nie wiem, skąd mi to przyszło, wierzyłem jednak, że mogę sobie na to pozwolić, a czas był odpowiedni do wierzenia.

- Zmykaj stąd i pilnuj steru! Już cię tu nie ma! To pudło skoczy jak oparzony piskorz, jeśli zostawisz stery, a tych dwoje miało już dość wrażeń. Ruszaj szybko! Jesteś tu jedyną osobą, która wie, jak to się robi.

A ja jedyną osobą, która wie, jak robić co innego. Dobra? Dobra! - powiedziałem i pchnąłem go.

Warknął na mnie, ale wszedł na drabinę. Przykucnąłem obok tych dwojga i przyglądałem się im. Czuję się wspaniale, naprawdę wspaniale.

- Wirginio, wiesz, co to za dzień? - spytałem. - To dzień, kiedy wszystko się wyjaśnia. Prawda? Prawda.

- Zabawny z pana gość, panie Palmer.

- Jak na błazna przystało, pani szanowna.

Zrobiłem do niej minę i wszedłem na stopnie drabiny. Mniej więcej w momencie, kiedy się znalazłem na szczycie, statek ruszył. Runąłem w dół, ale to nie wydało im się zabawne. Zdaje się, że w ogóle mnie nie zauważyli. Ponownie wspiąłem się cicho na górę i wróciłem do swojej kabiny.